



**Andrzej Gardzilewicz**

# **Gardzielowe fidrygałki**

część II

---



Andrzej Gardzilewicz

# Gardzielowe fidrygałki

część II

---

Korekta Joanna Czauderna-Szreter

© by Andrzej Gardzilewicz

Wydanie własne na prawach rękopisu

Gdańsk 2021

## **Spis treści**

Tytułem wstępu / 5
Od autora / 8
Telefon sąsiada z ulicy Nabelaka / 9
Wybiórcza pamięć / 12
Najdroższy szampan świata / 15
Po sześćdziesięciu latach / 17
Przyśpieszony kurs ekonomii / 21
Konto w Njujorkie / 25
O wieczystej konwersji energii i nie tylko... / 29
Krynica, Nowy Dom Zdrojowy / 32
Niespodzianka Anusi / 39
Ojciec i syn / 45
Ukochana teściowa / 50
Mehr Licht / 55
Trochę dziegiu w krajowej fotowoltaice / 57
Zemsta, zemsta, zemsta na wroga... / 60
Bez komentarza / 64
Szczepcie się / 66
Gardzielowa Furtka / 68
Zamiast epilogu / 71

### **SUPLEMENT**

Zielony Ład 2050 i czarna polska dziura / 73
--



## Tytułem wstępu

Przeżyć życie dobrze i barwnie, to jedno. Opisać je dobrze i barwnie, to drugie. Andrzejowi Gardzilewiczowi udały się obie te sztuki. I kto by pomyślał, że to już sześć lat minęło od ukazania się w druku „Gardzielowych fidrygałków”. Świat ruszył dalej. Proces odzyskiwania i zagospodarowania wolnej Rzeczypospolitej, którego pochwałą w jakimś stopniu była pierwsza część wspomnień, przybrał niekoniecznie oczekiwany i pożądanym przez Autora kierunek.

No i jeszcze ta pandemia. Ale to wciąż jeszcze za mało, by zdusić wrodzony optymizm Gardziela. Trudno jednak nie zauważyć, że w drugiej części jego wspomnień pojawiają się akcenty bardziej refleksyjne. Ale po kolei...

Nowe Fidrygałki podzielić można na trzy grupy. Pierwsza to swoisty ciąg dalszy – opowiadki o tym, co przydarzyło się Autorowi w ostatnich kilku latach. Gardziel nie zwalnia tempa: podróżuje, organizuje spotkania, jubileusze, szusuje na stokach, nie wygasił też do końca działalności naukowej i biznesowej. Słowem – jest go wszędzie pełno i zbiera kolejne doświadczenia, którymi dzieli się z czytelnikiem.

Grupa druga to uzupełnienie poprzedniego zestawu o przygody i motywy z czasów wcześniejszych, z tych czy innych względów pominięte w pierwszym tomie. Zapewne nie bez znaczenia był tu czytelniczny odzew na pierwszą publikację. Odezwały się osoby kiedyś w życiu autora obecne, ożyły wspomnienia wspólnie doświadczonych sytuacji. Szczególnym przypadkiem w tym zbiorze jest rozdział „Ojciec i syn”. Uważnych czytelników pierwszej części „Fidrygałków” z pewnością uderzyła powściągliwość, z jaką Andrzej Gardzilewicz pisał o swoich najbliższych. Oczywiście to problem każdego autora wspomnień: na ile jego publiczne wynurzenia nie naruszają prawa do intymności innych. W tym wypadku problem leżał jednak głębiej. Część druga przynosi wyjaśnienie i... rozwiązanie. Dystans między ojcem i synem, narastający od lat, zostaje skrócony dzięki „Fidrygałkom”! sms o lakonicznej treści: „Cześć Tato. Przeczytałem twoją książkę. Fajna! Najbardziej mi szkoda, że nie znam faceta, który ją napisał” staje się początkiem procesu pojednania 50-letniego syna z 80-letnim ojcem. A Gardziel z beztróskiego opowiadacza przeistacza się w samoświadomego narratora, który nie tylko rysuje efektowną paralełę między własnymi relacjami z ojcem, a późniejszymi kłopotami w komunikacji z synem, ale potrafi też uczciwie przyznać się do swoich błędów. To nowy ton. Do niektórych rzeczy, jak widać, dorasta się dopiero po osiemdziesiątce.

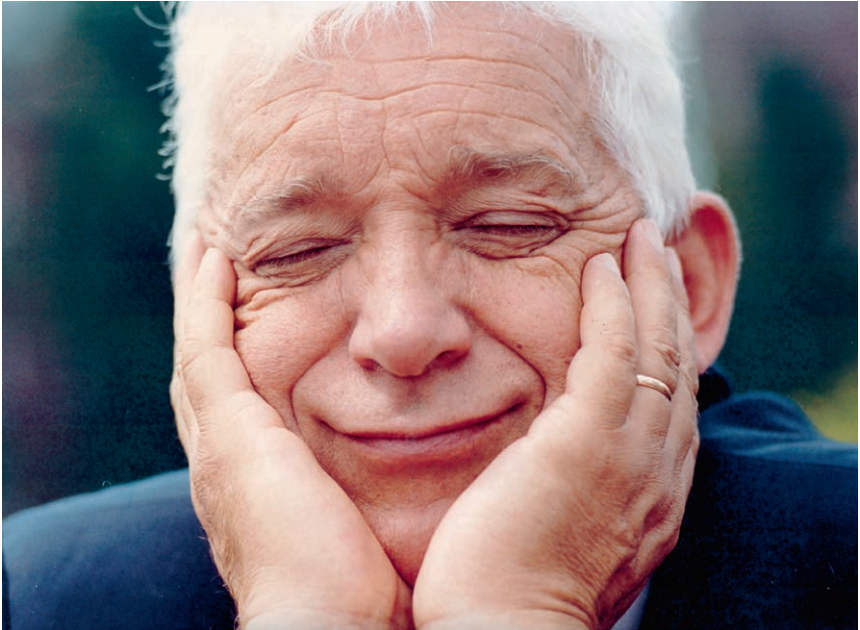
Refleksja, ale i troska o przyszłość dominują też w dwóch ostatnich rozdziałach. Miejsce wspomnień zajmują napomnienia. W „Zielonym ładzie i czarnej dziurze” z pozycji profesora i praktyka zarazem, Autor stara się objaśnić złożoność zjawiska zielonej energii, jednocześnie podkreślając wagę, jaką przestawienie się na czystą energetykę ma dla całej ludzkości.

Kto zna bliżej Gardziela wie, że to zwierzę polityczne. Polityką żyje, emocjonuje się prawie jak sportem, a był nawet moment w jego życiu, kiedy wydawał się bliski bezpośredniego zaangażowania w nią. To, że ta tematyka była nieobecna w pierwszym tomie wynikało ze świadomie przyjętego założenia. Tym razem jednak nie mógł zamilczeć. Wieńcząca całość „Zemsta, zemsta, zemsta na wroga” to protest i ostrzeżenie wobec erupcji nienawiści w życiu publicznym i grania rządzących na pogłębienie podziałów w polskim społeczeństwie. Choć – jak to już ma we krwi – Gardziel stara się rozniecić w czytelniku iskierkę optymizmu. Na ile zasadnie?

Tego może dowiemy się z części trzeciej...

*Dariusz Szreter*





*Cogito ergo sum...*

---

## *Od autora*

Skończyłem pisać drugą część swoich Fidrygałek, Ufff!!! Czy zacznę pisać trzecią? Nie wiem. Dziś dziękuję przyjaciołom za życzliwą weryfikację, ale przede wszystkim synowi Pawłowi, że mnie do tego wysiłku zmotywował. Podziękowanie składam też żonie Hani, największej językowej purystce w rodzinie, że moim strofom nadała ostateczny szlif, znosząc cierpliwie humory artysty. W końcu dziękuję też Joasi i Maćkowi za pomoc w redakcji i składaniu tekstu do druku.

Nie było to łatwe, bo się starzeję, gorzej już biegam, słyszę, widzę i... pi-szę. Nim udało mi się cokolwiek sklecić, siadałem w zadumie na fotelu, by przemyśleć, jak by tu innych zarazić swym optymizmem. Przecież coraz mniej ludzi czyta książki, wokół coraz więcej jest rozczarowanych i mał-kontentów, coraz częściej też ludzie stają przeciw sobie i wzajemnie się nienawidzą. Tymczasem aby żyć szczęśliwie, trzeba świat po prostu kochać, a bliźniego miłować jak siebie samego...

## Telefon sąsiada z ulicy Nabelaka

Jestem bazarzem. Zawsze potrafiłem opowiadaniem i anegdotami zabawić swoje otoczenie. Prośby Cioci Musi, by te dość wesołe historyjki przelać na papier, zbywałem. Nie miałem na to ani czasu, ani ochoty. Dopiero na emeryturze dojrzałem, a do pisania zachęcił mnie Sylwester – kolega z boiska i z narciarskich tras. Entuzjastycznie nastawiony słuchacz moich dykteryjek.

To wszystko nie było wcale takie proste. Co innego paplać, a co innego odpowiedzialnie formułować zdania zapisywane w książce. Odrzuciłem zatem nudną zwykle dla czytelnika formę chronologicznej biografii i postanowiłem historię życia przedstawić w krótkich felietonach z humorem i przesłaniem. Nigdy bym zamiaru nie zrealizował, gdyby nie komputer, który pomagał mi sprawdzać, przedstawiać i wykreślać słowa, zdania, rozdziały. Dopiero wówczas doceniłem wybitnych, a równocześnie płodnych powieściopisarzy XIX i XX wieku. Że też przy składaniu im się nie popieprzyło! Sam dla uniknięcia kompromitacji teksty dawałem znajomym do czytania, by potem znów je poprawiać, korygować i cyzelować.

Mimo to byłem zdenerwowany, gdy za namową siostrzenicy Joasi rękopis złożyłem do Oficyny Gdańskiej, cenionego na Wybrzeżu wydawnictwa. Udało się. Kolegium redakcyjne pracę przyjęło bez zastrzeżeń, ale mój entuzjazm ostudzono, informując, że będą trudności ze zbyciem, gdyż więcej ludzi książki pisze, niż czyta. Zrezygnowałem zatem z tantiem, pomogłem w rozprowadzeniu. Książkę pięknie wydano i wiosną 2015 roku w auli Politechniki Gdańskiej odbyło się spotkanie autorskie. Przy braku reklamy, dość szybko sprzedano pierwszy tysiąc egzemplarzy. Rozeszły się też dodruki następnego nakładu. „Gardzielowe fidrygałki” czytali nie tylko moi przyjaciele, przedstawiciele świata nauki, kultury i polityki, ale też zwykli ludzie. Odbierałem gratulacje, e-maile, sms-y, setki telefonów. Najdziwniejszy przytaczam poniżej:

- Halo! Czy to Lwów? – pyta jakiś nieznajomy.
- Jaki Lwów? – krótko zbywam.
- Czy to ulica Nabelaka 33?
- Oczywiście – rzucam jako były mieszkaniec Nabelaka.
- Czy to Pan Andrzej Gardzilewicz?
- Tak to ja – odpowiadam zaciekawiony.

I wtedy wszystko się wyjaśniło:

– Tu Tadeusz Riedl, emerytowany profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, byłem pana sąsiadem z Nabelaka pod numerem 37. Przypadkowo dorwałem pana książkę „Gardzielowe fidrygałki”. Jest znakomita. Tak się składa, że jakiś czas temu przeniosłem się do Gdańska, gdzie w Akademii Wychowania Fizycznego prowadziłem Zakład Biologii i Ekologii, będąc także rektorem. Zapraszam pana z małżonką w sobotę na obiad do mieszkania na Morenie. Proszę nie przyjeżdżać autem, bo na przystawkę do śledzika będzie wódka na bungu (bungu to po lwowsku czysty spirytus).

Pojechałem. Żona profesora przygotowała lwowskie przysmaki, rozmawialiśmy bite pięć godzin. Profesor w czasie wojny mieszkał we Lwowie u swego stryja. Nie pamiętałem ich obu, ale przypomniałem sobie kolorowe atlasy roślin i zwierząt oglądane na parterze sąsiedniej willi, gdzie zawsze szczekał drobnutki piesek. Obrazy słoni, lwów, tygrysów, żyraf utkwily mi w pamięci na całe życie, a małego pudelka znalazłem później w rodzinnym archiwum na fotografii z Ciocią Musią. Pan Tadeusz, nieco starszy ode mnie, znał także te atlasy i potwierdził obecność pieska. Potem ze swadą zaczął opowiadać o Lwowie – miłości życia – o słynnych przodkach, o genialnym matematyku Stefanie Banachu, który wówczas mieszkał razem z nimi.



Przewodnik po Lwowie,  
książka profesora  
Tadeusza Riedla

---

Co ciekawe, profesor był nie tylko cenionym uczonym, ale też sportowcem. W 1951 roku zdobył tytuł wicemistrza Polski juniorów w tenisie. Na zakończenie wręczył mi swoją książkę „Chodząc po Lwowie” z dedykacją: „Kochanemu Panu Profesorowi Andrzejowi Gardzilewiczowi z serdecznością i na pamiątkę. Tadeusz Riedl. Gdańsk 19.11.2016”. Z filuternym uśmiechem dodał:

– Pisz pan dalej te swoje „Fidrygałki”!

Do pisania powróciłem w 2020 roku w czasie epidemii koronawirusowej, gdy cały kraj został wysłany na przymusową kwarantannę. Nie zmieniłem przyjętej wtedy formy krótkich opowiadań z przesłaniem. Postanowiłem jednak, że tym razem nie będę marnował papieru, mój syn Paweł obiecał pomoc w przygotowaniu drugiej części „Fidrygałek” w wersji elektronicznej.

## Wybiórcza pamięć

Kiedy świat świętował 70. rocznicę zakończenia II Wojny Światowej, byłem w Uzbekistanie. W tamtejszej telewizji na okrągło nadawano transmisje z moskiewskich obchodów „Dnia Pobjedy”. Poszliśmy do miasta. Na centralnym Placu Niepodległości w Taszkencie zebrane tłumy oddawały cześć zwycięskiej Armii Czerwonej. Odświętnie ubrani uczniowie z przejęciem odczytywali uwiecznione na tablicach nazwiska swych rodaków, którzy przynieśli pokój światu.

Stałem w zadumie i szybko przeliczyłem: w drodze do Berlina zginęło niemal 200 tysięcy młodych Uzbeków. Na pewno wielu poległo w Gdańsku w marcu 1945 roku, kiedy obok 38 tysięcy zaciekle broniących miasta żołnierzy Wehrmachtu, zginęło też 32 tysiące krasnoarmiejców, o czym pisał gdański historyk Maciej Żakiewicz. Zostawili po sobie nie tylko chwałę wyzwolicieli, ale też morderstwa, rabunki i gwałty, jakie popełniali już po walce na ludności cywilnej. Warto przypomnieć, że w tym samym czasie polscy żołnierze z armii Berlinga razem z innymi oddziałami Armii Czerwonej walczyli i ginęli na głównej linii frontu, na Wale Pomorskim.

Orkiestra grała marsze, na ławkach trybun siedzieli wojenni weterani, przęcąc na piersiach radzieckie ordery. Wszedłem między przechodzącą obok czeredę uczniów i spytałem:

– Kogda wojna naczała?

Do przodu wyskoczył jeden z nich i wyrecytował:

– Oteczestwiennaja Wojna naczała 21 ijunia 1941, kogda napali na nas germanske faszysty.

– Nie oteczestwiennaja, a mirowaja – sprostowałem.

Zaległa cisza, którą przerwał siedzący na podwyższeniu stary Uzbek. Ten gieroj Sowietckogo Sojuza, z wyglądu na pewno pamiętający tamte czasy, powiedział głośno:

– W sientabrie 1939 goda.

Tym razem zapadła konsternacja. Znam rosyjski, zacząłem opowiadać o wrześniowym ataku Niemców oraz Rosjan na Polskę, o naszej okupacji, o wywózkach rodziny ze Lwowa na Sybir. Nauczycielce, która stała z grupą młodzieży, pocięły łyzy.

– Niech pan mówi, moją rodzinę też z Polski wtedy wywieźli do Uzbekistanu. Babcia tu zmarła...



Tablice poległych w II wojnie Uzbeków na placu Niepodległości w Taszkencie

Wróciłem do kraju i stwierdziłem ze smutkiem, że niestety w swej historii honorujemy głównie klęski. Tymczasem nasze powstania: listopadowe, styczniowe, warszawskie, mało już kogo obchodzą. Może dziś, w czasach pełnych niepokoju, warto świętować nie tylko zwycięstwa i porażki, ale też udane pokojowe układy? Idee gdańskiej Solidarności i jakże ważne rozmowy bohaterów Okrągłego Stołu, ku zdumieniu świata rozmieniliśmy na wzajemne kłótnie. Mimo tych perturbacji, na wystawie utworzonego w Gdańsku Europejskiego Centrum Solidarności, tę historię pouczającego dialogu każdy może sobie znów przypomnieć.

Obok zbudowano wspaniały gmach Muzeum II Wojny Światowej, gdzie zwiedzający ze wschodu i zachodu, z północy i południa mogą zweryfikować swoje wybiórcze prawdy. Oddaje się tu cześć nie tylko zwycięskim armiom, ich dowódcom, czy walczącym do końca przegranym żołnierzom, ale także przywraca się pamięć poległym na wojnie dziesiątkom milionów zwykłych ludzi. Ku przestrodze i dla utrzymania trwałego pokoju. Ze wszystkich stron świata ciągną tu tłumy...

To wszystko nie jest takie proste. Ostatnio w tym muzeum w trakcie koncertu pieśni wojennych, na polecenie nowo powołanej dyrekcji, wyrzucono za drzwi cały zespół odtwarzający rosyjski utwór „Tiomnaja nocz” z filmu „Dwaj żołnierze”. To list jednego z nich do ukochanej kobiety i dziecka, których być może nigdy już więcej nie zobaczy. Zamiast komentarza przytaczam znajome mi słowa, w przepięknym przekładzie Juliana Tuwima:



Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku

---

*Ciemna dziś noc,  
świszczą kule po stepie i znów  
Za depezą depezę przez mrok,  
wiatr po drutach przesyła*

*Wiem, że tę noc,  
znowu spędzisz do świtu bez snu  
Przy łóżeczku dziecinnym i znów,  
w oczach łzy, moja miła (...)*



## Najdroższy szampan świata

W biurze konstrukcyjnym Fabryki Turbin w Elblągu zapanowała euforia, gdy okazało się, że została przyjęta oferta Alstomu, złożona razem z General Electric na realizację niskoemisyjnego, wysokosprawnego bloku parowo-gazowego w Zielonej Górze. Po raz pierwszy bowiem otworzyła się szansa współpracy Polaków ze specjalistami najpotężniejszego na świecie amerykańskiego koncernu energetycznego. Alstom odpowiadał za wykonanie turbiny parowej. Był tylko jeden szkopuł, trzeba było przekonać władze w Baden, że oddział w Elblągu sam podoła zadaniu. Perfekcyjne przygotowanie projektu na starcie znacznie zwiększało nasze szanse. Co więcej, w Biurze Konstrukcyjnym specjalnie dla tego celu opracowano sprawne stopnie, które dopuszczały znacznie większe obciążenia. Finalnie w negocjacjach, poza przewagą merytoryczną, kluczowe okazały się też kompetencje i wrodzona „bezcelność” elbląskiego wiceprezesa Bolesława Łuniewicza, jednego z autorów konstrukcji.

No i udało się! Błyskawicznie przygotowano dokumentację turbiny, prowadzoną przez inżynierów Piotra Ostrowskiego i Wojciecha Naumowicza. Projekt „serca” – układu łopatkowego, przy współudziale spółki Diagnostyka Maszyn, zrealizował Dariusz Obrzut. Maszynę 13CK-65 bez kłopotów wykonano w elbląskich warsztatach i co najważniejsze zgodnie z harmonogramem zamontowano w elektrowni.



inż. Dariusz Obrzut  
na pomiarach  
gwarancyjnych  
turbiny 13CK-65 w  
Zielonej Górze

Na odbiory gwarancyjne siłowni zjechali w 2004 roku do Zielonej Góry liczni specjaliści: pracownicy z General Electric i z Rafako (specjaliści od turbiny gazowej i kotła) oraz ekipa z elbląskiego Alstomu (odpowiedzialna za turbinę parową). Do elektrowni pojechałem i ja ze swoją grupą z Diagnostyki Maszyn, aby przy okazji przeprowadzić badania nowych stopni, w których tworzeniu współuczestniczyłem. Prowadzący pomiary gwarancyjne inżynier Mączyński z gliwickiego Energopomiaru ustalił ramowy plan pracy.

Ruszyły kotły, wystartowały turbiny i... raptem wszystko stanęło. Totalna awaria! Zaczęła się nerwowa biegania, dociekanie co i gdzie zostało spartolone. Byliśmy oczywiście pełni obaw co do naszego pilotowego rozwiązania. Szczęśliwie dla nas uszkodzenie miało jednak miejsce w turbinie gazowej. Inżynierowie z angielskiej filii koncernu GE, którzy na wcześniejszych spotkaniach wyraźnie nas lekceważyli, byli zdruzgotani. Przerwa trwała z górą trzy dni, bo sami nie dali rady naprawić i musieli ściągnąć specjalistów samolotem czarterowym ze Stanów Zjednoczonych.

Kiedy wszystko dobrze się skończyło, można było wreszcie świętować sukces. Nasz polski był w pełni tryumfalny! Ten Amerykanów również, tyle że kosztował ich krocie, do postawionego szampana musieli przecież doliczyć niemałe koszty przestoju. Trochę utarliśmy im nosa. Po zapoznaniu się z rozwiązaniem złożyli nam gratulacje. Szkoda, że nie doczekał tego nieżyjący już dr Stanisław Bednarski, mój przyjaciel z gdańskiego Instytutu Maszyn Przepływowych PAN. Kiedyś „uciekł” do USA i pracował później w koncernie GE długie lata, praktycznie bez kontaktu zawodowego z nami.

Wysoko obciążone stopnie z nowymi profilami z naddatkiem spełniły gwarantowane parametry. Udana konstrukcja nominowana do Nagrody Prezydenta RP 2005, do dziś bezawaryjnie pracuje w elektrociepłowni, w Zielonej Górze. Jej główny autor, inżynier Dariusz Obrzut z wyróżnieniem obronił doktorat na Politechnice Gdańskiej. Byłem promotorem tej pracy. Wkrótce elbląska fabryka została przejęta przez koncern GE. Amerykanie wiedzieli, co i kogo kupują. Wyprodukowane tu turbiny parowe są wysyłane na cały świat, teraz też do Ameryki, nawet do elektrowni atomowych.

## Po sześćdziesięciu latach

To 60 lat minęło od chwili, gdy nieco przestraszony przekroczyłem mury Politechniki Gdańskiej. Studia zacząłem w pamiętnym Październiku 56, kiedy po latach terroru, nastąpiły czasy odwilży i pewnych kompromisów. Po egzaminach wstępnych przyjęto nas stu dwudziestu. Uważany za najlepszy w kraju Wydział Mechaniczny rozdzielono wtedy na Maszynowy i Technologiczny. Wybrałem Maszynowy, bo tam właśnie zebrała się znakomita kadra uczonych z Politechniki Lwowskiej. Naszymi wykładowcami byli wybitni profesorowie: Adolf Polak, Robert Szewalski, Stanisław Łukasiewicz, Marian Piątek, autorzy udanych konstrukcji silników, turbin, dźwigów. Stawiali wysokie wymagania, którym nie zawsze potrafiliśmy sprostać i dość często musiał wstawiać się za nami dziekan profesor Henryk Więckiewicz. Wydział kończyła świetnie wyszkolona kadra inżynierska, rozchwytywana przez fabryki, instytuty i zakłady przemysłowe odbudowującego się kraju. Wśród nich była nasza paczka, która ruszyła w Polskę, przeważnie z nakazem pracy. Spotykaliśmy się sporadycznie, i to zwykle w Gdańsku. Nie było czasu na celebrowanie sukcesów, czy organizowanie zjazdów absolwentów.

Dopiero we wrześniu 2016 roku z ideą pierwszego spotkania wystąpił Andrzej Błażejczyk. Przekonałem go, by zjazd zrobić natychmiast, byliśmy coraz starsi, wielu kolegów odeszło już z tego świata. Przekazana ad hoc informacja została od razu zaakceptowana. Obaj z Andrzejem wzięliśmy na swoje barki organizację. W oparciu o listy z dziekanatu Wydziału Mechanicznego doliczyliśmy się, że wydział ukończyło ponad 80 osób, liczonych razem z repentami. Nadal żyło prawie pięćdziesięciu, z czego dwudziestu potwierdziło udział w jubileuszu.

Spotkaliśmy się w październiku w Ogrodzie Zimowym Europejskiego Centrum Solidarności. Niektórzy po raz pierwszy ujrzeli wtedy ten nowoczesny gmach zbudowany w miejscu, gdzie rozpoczął się polski marsz do wolności i demokracji. Trochę się postarzeliliśmy, ale większość przybyła w dobrej formie. Windą wjechaliśmy na dach budynku, by zobaczyć nie tylko panoramę starego miasta, ale też gdańskie stocznie. Wielu z nas właśnie tu zaczynało karierę zawodową. Widok budowanych statków na pochylniach i potężne dźwigi portu kontenerowego były dla przyjezdnych sporym zaskoczeniem.

Podczas radosnego przejazdu meleksami podziwialiśmy nowo zabudowane brzegi nad Motławą, by wkrótce w Sali Seledynowej Restauracji



Europejskie Centrum Solidarności, z widokiem na pochylnie i dźwigi

Kresowej zasiąść przy suto zastawionym stole. Poinformowałem, by wpisowe, z ewentualną dopłatą za moje biograficzne „Fidrygałki”, wrzucać do kapelusza. Niektórzy ze zdumieniem patrzyli, że nikogo nie sprawdzałem, ale przecież w czasie studiów darzyliśmy się pełnym zaufaniem. Po zbiórce nie zabrakło ani złotówki. Ba, zanotowałem nawet superatę, zapewne dzięki mojej książce, którą kupili wszyscy bez wyjątku, a niektórzy od razu zaczęli ją czytać.

Krótkie autoprezentacje zebranych pokazały, że nie zmarnowaliśmy studiów. Koledzy dawali sobie radę zarówno w czasach komunizmu, jak i w trakcie trudnych przekształceń ustrojowych. Wszyscy z dumą opowiadali o swych osiągnięciach konstrukcyjnych i organizacyjnych. Przy naszym udziale powstawały turbiny, silniki, wentylatory, maszyny spożywcze, wymienniki, przekładnie, młyny. Moi koledzy byli zatrudniani w fabrykach, stoczniach, elektrowniach, na statkach i uczelniach. Wielu poszczycić się mogło uzyskanymi specjalizacjami i tytułami, w tym również profesorów belwederskich. Niektórzy z powodzeniem pracowali długie lata za granicą. Zatrudniani w Europie, Ameryce, Azji, Afryce; od Nowego Jorku, po daleką Nachodkę na Syberii. Powracali do domu, bo w ojczyźnie wszystkim żyło się najlepiej. Teraz na emeryturze, w kręgu rodzin zaczęli realizować swoje pasje. Majsterkują, „bawią się” komputerami, fotografują, łowią ryby. Ci,

którym Bozia nie poskąpiła zdrowia, pływają, grają w tenisa, szusują na nartach, nawet latają na szybowcach. O dziwo, znaleźli się wśród nas i tacy, którzy wciąż pracują zawodowo.

W imieniu dziekana Wydziału Mechanicznego Politechniki Gdańskiej profesora Dariusza Mikielewicza, dyrektor Wojciech Połubok odczytał przesłanie i zaprosił do odwiedzenia uczelni, wręczając zebranych pamiątkowe znaczki. To budujące, że Politechnika śladami słynnych uczelni na świecie stara się zachować więzi ze swymi absolwentami. Oczywiście były wznoszone toasty. Rozpoczął Włodek Fabianowicz, do którego dołączyli inni, jednak nikt nie przesadził. Jak pić gorzałkę, uczył nas przecież na studiach nieodżałowanej pamięci wykładowca Zdzisław Ciołkowski. Ale chociaż nasz stół nie był okrągły, nie zanotowano istotnych podziałów, które niestety zaczęły dominować w kraju. Rodzinną atmosferę dopełniała piękna muzyka, która jak wiadomo, łagodzi obyczaje. Przy pianinie Dzidek Fortuna, który niegdyś występował w Klubie Żak w zespole jazzowym „Tralabomba” Afanasjewa, cichutko grał powszechnie znane ragtime’y. Czekając na dowieszenie kolejnych „Fidrygałków”, dałem minikoncert pieśni Moniuszki. Moi towarzysze śpiewali ze mną nie tylko refreny, czemu ze zdumieniem przysłuchiwali się goście w restauracji. Na końcu, z udziałem obsługujących kelnerów, zagrzmiała pieśń naszej młodości „Upływa szybko życie”. Późnym wieczorem na Ogarną podjechały zamówione taksówki.



Absolwenci Wydziału  
Maszynowego  
1956–1961 na  
jubileuszowym  
spotkaniu

---

Na następne spotkanie w Bydgoszczy zaprosił nas nieobecny w Gdańsku profesor Józef Szala, długoletni rektor tamtejszego Uniwersytetu Technicznego. Jego telefoniczną informację potwierdzili podpisem: Roman Benedict, Andrzej Błazejczyk, Janusz Bury, Antoni Chrzan, Włodzimierz Fabianowicz, Rajmund Fortuna, Andrzej Gardzilewicz, Henryk Godlejewski, Tadeusz Kibort, Jan Kłopocki, Stanisław Małuszek, Olgierd Olszewski, Mieczysław Ratusznik, Adam Rumianowski, Ryszard Smolik, Henryk Stachurski, Zenon Stankiewicz, Romuald Szczygielski oraz Lucjan Wojtowicz. Do spotkania w Bydgoszczy jednak nie doszło. A po czterech latach na kolejne spotkanie nad Motławą przyjechało już jedynie 11 osób. Zaczęliśmy minutą ciszy...

## Przyśpieszony kurs ekonomii

Po wyborach 1989 roku otworzyła się przed nami szansa budowy wolnego, demokratycznego państwa. Trzeba było wszystko praktycznie zmieniać od nowa i ostro zabrać się do pracy. Dotyczyło to przede wszystkim ekonomii. Socjalistyczna gospodarka dogorywała. Liczyliśmy na rozwój kapitalizmu, który wydawał się bardziej sprawny w budowie społeczeństwa dobrobytu, ale nie mieliśmy w tym względzie żadnej wiedzy, ani doświadczenia. W niektórych kręgach przestrzegano jednak przed drapieżnym imperializmem, powracały echa pierwszego Zjazdu Solidarności i marzenia o systemie sprawiedliwości społecznej. Wprowadzenie przemian gospodarczych wzięło na siebie rząd premiera Mazowieckiego w planie nakreślonym przez prof. Leszka Balcerowicza i powszechnie określanym jego nazwiskiem. Powodzenie zależało nie tyle od poparcia finansowego Zachodu, co od postawy samych Polaków. Na szczęście powrót do demokracji, który połączono z przywróceniem wolnego rynku w gospodarce był udany, chociaż nie wszyscy byli z tego zadowoleni. Jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać prywatne spółki. W Warszawie utworzono giełdę, w kantorach bez trudu można było wymieniać złotówki na dolary i odwrotnie. Do Polski zaczął napływać kapitał, zjeżdżali przedsiębiorcy, a obok nich eksperci i doradcy. Ludzie się bogacili, ale kraj zalewały także i złe informacje o korupcji i biznesowych przekrętach, w szczególności na styku gospodarki państwowej i prywatnej.

Teraz to już historia, ale jeśli dziś ktoś podważa podziwiane przez świat nasze sukcesy, jestem oburzony i pytam:

– A gdzie ty wtedy byłeś? Co robiłeś?

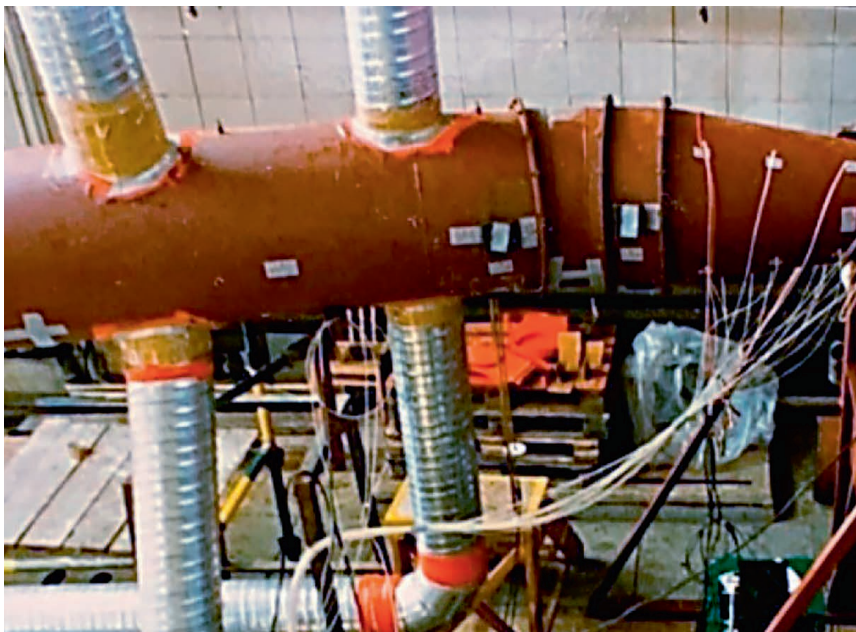
Sam do budowy tej Polski ruszyłem z entuzjazmem. Na trudnym terenie Akademii Nauk założyłem w 1991 roku spółkę typu spin-off, otwartą na innowacje. Mimo ostrzeżeń dotyczących przekrętów w pozyskiwaniu zleceń czy kontroli rozdmuchanej administracji, szło mi dobrze, ale na początku omal nie splajtowałem. Podżywowałem kredyt nieuczciwemu partnerowi z Zachodu, bo tacy też się trafiali. Do dziś pamiętam przyśpieszony kurs ekonomii, jaki wtedy musiałem przejść. Przy braku fachowej literatury i bez dostępu do Internetu moim konsultantem został Staszek Bednarski, który po latach najemnej pracy w Ameryce skutecznie zaczął inwestować na międzynarodowych rynkach finansowych. W Polsce – razem z Jerzym Kosińskim, autorem znakomitego „Malowanego ptaka” – założył jeden z pierwszych prywatnych banków. Marzenia Solidarności o sprawiedliwym

podziale dóbr Staszek skomentował krótko: Amerykanie, zafascynowani rewolucją w Rosji, też szukali innych rozwiązań. Jednak przejmowanie na wspólną własność zagrożonych plajtą prywatnych zakładów kończyło się na ogół wielką katastrofą. Co ciekawe, wina była nie tyle po stronie zarządzającego właściciela, czy rodzinnych stosunków z załogą, ile po stronie nietrafionej, często przestarzałej produkcji. Oczywiście straty poniesione po plajcie dotyczyły już nie tylko właścicieli, ale wszystkich, którzy przejęli akcje firmy.

Staszek wytłumaczył mi również, że nawet w ustabilizowanej gospodarce Zachodu co roku upadają tysiące firm, a bankrutującym kapitalistom niezwykle trudno jest wówczas „uciekać” z pieniędzmi, bo działają tam skuteczne systemy zabezpieczeń. Kontrolę zapewniają z jednej strony sądy pilnujące przestrzegania prawa, z drugiej banki, mające bezpośredni nadzór nad obrotem pieniędzy. Rozprawy sądowe i w Ameryce ciągną się niemiłosiernie długo, gdyż muszą udowodnić bezsporną winę oskarżonego. Banki natomiast dopadają oszusta już w momencie zakładania nowego konta. Wymieniają bowiem między sobą wszystkie, nawet trefne informacje o klientach, a w takim przypadku nieuczciwi właściciele sami muszą udowodnić swą niewinność lub – jeśli to niemożliwe – pozyskać przy otwarciu konta podpisy odpowiedzialnych finansowo żyrantów. Tym, którzy tych reguł nie przestrzegają, pozostaje praktycznie działalność poza prawem, w układach „mafijnych”. Prezentowany przez Staszka opis był oczywiście pewnym uproszczeniem, ale zasadnym. Takie zmiany szybko zastosowano w polskich bankach, a dług spółki Diagnostyka Maszyn znacznie ograniczono, gdy okazało się, że gwarantowany przeze mnie, nieuzasadniony dostatecznie kredyt, załatwił oszustowi skorumpowany urzędnik bankowy.

O niekonwencjonalnych metodach walki z korupcją przekonałem się też wkrótce podczas kontroli mojej spółki, prowadzonej przez głównego kontrahenta – elbląską Fabrykę Turbin АВВ. Dotyczyła ona sprawdzenia jakości norm ISO-9000, którą połączono z „dobrowolnym” dostępem do archiwalnych list płacowych. Z dużym wahaniem wyraziłem zgodę na ich sprawdzenie i wówczas spółka Diagnostyka Maszyn zyskała status najwyższego uprzywilejowania. W protokołach pokontrolnych, dotyczących przestrzegania procedur jakości, przeczytałem, że firma jest transparentna. Jak mi doniesiono nieoficjalnie, na listach płac nie figurowali bowiem pracownicy z АВВ. Jedyne zastrzeżenie, jakie wtedy dostałem, dotyczyło





Stanowisko do badań drgań rurociągów na wlocie do reaktora elektrowni atomowej Oskarshamn w gdańskim laboratorium

---

braku zastępcy na stanowisku dyrektora w przypadku choroby lub śmierci. Natychmiast swego zastępcę wyznaczyłem zgodnie z regułą.

Polacy gorzko odczuli zaniedbanie podobnej treści, kiedy do samolotu, który uległ wypadkowi wsiedli wojskowi dowódcy razem ze swymi zmiennikami...

Inny, „zachodni” sposób sprawdzenia wiarygodności w biznesie spotkał mnie w trakcie negocjacji kontraktu na badanie drgań rurociągów reaktora elektrowni atomowej Oskarshamn. Merytoryczne sprawdzenie naszych możliwości przeszliśmy bez trudu, ale przed ostatecznym podpisaniem umowy ze szwedzkim ABB Atom, pojawił się u mnie niespodziewanie przedstawiciel Banku Gdańskiego. Na polecenie banku zleceniodawcy przyszedł sprawdzić, jakie są gwarancyjne aktywa spółki Diagnostyka Maszyn. Interesowały go jedynie środki trwałe i gotówka, które nie były imponujące. Na pytanie – czym to grozi, przyjazny bankowiec odparł:

– Zerwaniem kontraktu!

I poradził, by wpłacić do banku co najmniej równowartość wcześniej zażądaną zaliczki. Dolary pożyczyłem z własnego, prywatnego konta, na co musiałem dostać także zgodę żony. Urzędnik bankowy potwierdził Szwedom naszą pełną wypłacalność, a kontrakt został uratowany. Powierzone nam zadania wykonaliśmy perfekcyjnie. W dzierżawionym laboratorium Instytutu Maszyn Przepływowych zbudowałem stoisko badawcze, na którym z zespołami doktorów Zygmunta Wiercińskiego i Józefa Rybczyńskiego wykonaliśmy pomiary i zaproponowaliśmy modyfikacje. W elektrowni Oskarshamn poziom niebezpiecznych drgań rurociągów, łączących reaktor z turbiną zmniejszono pięciokrotnie. Kontrakt dla wszystkich okazał się dobrym interesem, spółka zwiększyła swoje bankowe aktywa, a do listy naszych zleceniodawców obok ABB dołączyli wkrótce inni światowej sławy potentaci: Alstom, Rolls-Royce, GE, Siemens.

## Konto w Njujorkie

W nowej rzeczywistości lat 90. utrzymywałem też kontakty na Wschodzie, głównie z Instytutem Budowy Maszyn Ukraińskiej Akademii Nauk w Charkowie. W trudnych czasach rozpadu Związku Radzieckiego zatrudniałem kolegów z tego Instytutu w spółce - Diagnostyka Maszyn. Moje dobre rozeznanie na tamtejszym rynku bardzo się przydało, kiedy elbląska fabryka turbin ABB otwierała na Ukrainie filię, zajmującą się produkcją rur ciepłowniczych. To udane przedsięwzięcie było zapewne jednym z powodów, dla których podczas kolejnej wizyty w Charkowie, zostałem zaproszony na spotkanie z przedstawicielami miejscowego biznesu. Na sali zebrało się kilkadziesiąt osób, na kolorowych slajdach prezentowano dość ciekawe propozycje. Słuchałem z uwagą, skrętnie zapisywałem, prosiłem o wyjaśnienia. Przepisy działające w gospodarce ukraińskiej wydawały się już dość podobne do naszych, przerażały jednak słyszane opowieści o korupcji, błatach i reketach, które – jak mówiono – były możliwe przy cichym poparciu rządowej administracji, policji i sądów.

Zainteresowałem się wówczas propozycją wysokotemperaturowej izolacji bez azbestu. Tuż przed wyjazdem na Ukrainę widziałem w gdańskiej elektrociepłowni rozbebeszony kocioł, w którym zgodnie z nowymi normami trzeba było wymieniać kancerogenne materiały. Wiedziałem, że duńskie zamienniki azbestu były kosztowne, więc natychmiast podjąłem rozmowy. Przejrzałem wyniki badań oraz obejrzałem rulonik nowej izolacji i po ustaleniu wstępnych warunków płatności, wróciłem do domu.

Zaraz po przyjeździe do Gdańska skontaktowałem się z kolegami w Elektrociepłowni. Przy braku możliwości przeprowadzenia transakcji importowych, skorzystałem z pośrednictwa firmy, którą prowadził Zdzicho Trąbka, kolega jeszcze z ogólniaka. Na rozmowach stronę ukraińską reprezentował Sasza – uczestnik badań, a równocześnie profesor z bliskiego mi Instytutu w Charkowie. Podkreślał z naciskiem, że do Gdańska przyjechał „incognito”, co było trudne do zrozumienia. Rozmowy nie trwały długo, szybko uzgodniono szczegóły i podpisano trójstronną umowę na kupno w sumie niewielkiej ilości izolacji, na próbę.

Minęły dwa miesiące. Termin dostawy zbliżał się nieubłaganie, a z Ukrainy nie było żadnej informacji. Byłem pełen obaw, gdy nagle w moim mieszkaniu na Krętej o czwartej rano rozległ się przeraźliwy dzwonek. Drzwi

otworzyła żona, zajrzała przez wziernik i zobaczyła dwóch nieciekawie wyglądających, obrośniętych mężczyzn.

– Kto tam? – spytała.

– Zdies żywiot Andrej Pietrowicz? – usłyszała w odpowiedzi.

– Schodź natychmiast! – zawołała do mnie przestraszona.

To byli kierowcy z Charkowa, którzy ogromnym TIR-em z przyczepą zajechali z towarem. Byli zmęczeni, nieumyci, głodni, droga zajęła im 72 godziny.

– Wsio w poriadkie, my uspieli – oznajmili z zadowoleniem.

– Mołodcy – odrzekłem i zaprosiłem ich do domu.

Ogolili się, umyli i zjedli śniadanie. Pojechaliśmy do elektrowni. Z podziwem patrzyłem, z jaką precyzją wymanewrowali ciężarówkę z małej i wąskiej uliczki. W sali konferencyjnej strony przystąpiły do końcowych rozmów. Tym razem z Ukrainy przyjechało trzech dyrektorów oraz Sasza, czyli profesor „incognito”. Na początku zrobiło się zamieszanie, bo okazało się, że w trakcie transportu plandeka przyczepy się rozszczelniła i część izolacji niestety przemokła. Na szczęście trudnych negocjacji nie przerwano, bo w miejsce ocynkowanej blachy stalowej przywieziono znacznie droższą aluminiową. Przy lampce wina i skromnym poczęstunku podpisano protokoły. Ukraińscy kontrahenci nie byli jednak usatysfakcjonowani warunkami płatności. Zaprosiłem ich na obiad do nieistniejącej już dziś rosyjskiej restauracji „Newska” we Wrzeszczu. W zarezerwowanej salce zasiedliśmy do stołu, obok swoje dania jedli zgłodniaли kierowcy. Poproszono mnie jeszcze raz o przetłumaczenie warunków umowy, chociaż papiery przesłano wcześniej z opisem do Charkowa. Gdy powiedziałem, że elektrownia pieniądze przekaże w ciągu miesiąca, zwrócili się z prośbą o przyspieszoną wypłatę.

– To jest możliwe – potwierdziłem – ale dopiero po otrzymaniu faktury.

– Czto eto znaczit? – spytali.

– No oficjalnyj, utwierdionnyj szcoto zakaza – wyjaśniłem.

Zrobiło się gorąco, jeden przez drugiego zaczęli krzyczeć do Szaszki:

– U Andreja Pietrowicza czastnaja firma, no ty obieszczal nam diengi srazu, prjamo do karmana (znaczy do kieszeni).

W takich sytuacjach bracia ze wschodu zwykle udają się do toalety. Tak zrobili i tym razem. Po chwili wybiegł stamtąd biały jak płótno, zdruzgotany Saszka.

– Andrusza, jeśli dieniog nie budet, tam w Charkiwie zarezaty mienia na smert – wyszeptał.

Sytuację trzeba było rozwiązać natychmiast. Mój księgowy, pan Stefan Presch, który perfekcyjnie pilnował przestrzegania przepisów, zaproponował, żeby kontrakt rozdzielić na dwie części: naukową za badania i handlową za pilotową izolację. Sprawozdania z pomiarów przywieźli przecież ze sobą. Przystąpiliśmy do trudnych rozmów.

– Na chuj na zawodzie wsie dolary – słyszałem w wymianie zdań.

W końcu się dogadaliśmy, ale pieniądze za badania zażądali do ręki. Zaczęliśmy przygotowywać indywidualne zlecenia do podpisu i znów pojawiła się kolejna przeszkoda. Trzeba było przecież z wypłat odliczyć podatek osobowy, co oczywiście spotkało się z ich dosadnym komentarzem. Wreszcie dobiliśmy targu i mogliśmy to uczcić. Wyciągnęli z aktówki dwie flaszki „Stolicznej” (taką możliwość wcześniej uzgodniłem z kelnerem). Ku naszemu niemałemu zdziwieniu jeden z nich oryginalną nakrętkę odkręcił oczodołem i z zadowoleniem wszystkim nalał po kielichu.

Minęły dwa miesiące, zbliżał się koniec roku. Niespodziewanie zawitał do mnie, pośredniczący w transakcji dolarowej, mocno zdenerwowany



Nowy Jork z lotu śmigłowca. W oddali banki na Wall Street

Zdzichu Trąbka. Nie mógł zamknąć zlecenia, chociaż dwukrotnie wysłał pieniądze na Ukrainę. Co robić? Na szczęście tuż przed świętami posłaniec dostarczył fakturę i nowy numer konta. Konto znajdowało się w „Njujorkie”!

Z wiosną do Gdańska zawiał Saszka. Przywiózł dodatkowe opracowania z badań, które ostatecznie rozliczały indywidualne zlecenia. Zaprosił mnie do dachy niedaleko Charkowa, gdzie właśnie pokrył dach aluminiową blachą.

Z uśmiechem zagadnął:

– A kto wykorzystał tę przywiezioną wtedy do Gdańska…?

W moim domku letniskowym dach pokryty jest ocynkowaną blachą stalową. Konta w „Njujorkie” nie otworzyłem i otwierać nie zamierzam. Mimo że izolacja sprawdziła się w eksploatacji, pilotażowy kontrakt został zamknięty. Umarł Zdzicho, jak mi doniesiono, nie żyje Szasza. Fabryka kotłów, gdzie produkowano bezazbestowe izolacje po wojnie krymskiej znalazła się na zajętych przez Rosjan terytorium donieckim. Diagnostyka Maszyn swoją działalność w Charkowie ograniczyła do współpracy naukowej. Wkrótce potem na Ukrainie rozpoczęto ograniczać rozpasaną korupcję, a zachodzące zmiany polityczne budzą nadzieję, że kolejne państwo dołączy do krajów demokratycznej Europy.

## *O wieczystej konwersji energii i nie tylko...*

Janusza Badura poznałem w 1982 roku, w pełnym napięcia stanie wojennym. Byliśmy sąsiadami z ulicy Krętej, przy braku nie tylko wolności, ale i benzyny, zaczęliśmy chodzić do pracy piechotą, prowadząc ożywione dyskusje. Dość szybko skonstatowałem, że w nauce interesowały go nie tylko prace podstawowe, rozwiązywanie skomplikowanych równań różniczkowych, ale też i filozofia. Odróżniał byt ciała i duszy, intelekt bierny i czynny. Z humorem obwieścił mi wtedy, że śladami uczniów Arystotelesa staliśmy się, tak mimo woli, perypatetykami. Jako racjonalista z wykształceniem technicznym, patrzyłem na to z przymrużeniem oka, tym bardziej że on stale tkwił w statycznej mechanice ciała stałego.

W dyskusji był jednak nader otwarty. Udało mi się go wówczas przekonać do bardziej dynamicznej mechaniki płynów, a nawet termodynamiki, którą nie tylko profesor Szewalski uznawał za królową wszech nauk i wiązał z projektowaniem maszyn energetycznych. Nowa tematyka Janusza zafascynowała, zaczął służyć mi pomocą w rozwiązywaniu trudnych zadań, wkrótce też stał się niekwestionowanym specjalistą i w tych nowych dziedzinach. Został profesorem belwederskim oraz kierownikiem Zakładu Konwersji Energii, ku zdziwieniu wszystkich wkroczył w świat eksploatacji i budowy maszyn. Swą osobowością przyciągał do siebie rzesze młodych, wypromował z górą czterdziestu doktorów, specjlistów mechaniki, matematyki, fizyki, do których teraz dołączyli termodynamicy i konstruktorzy turbin.

Po latach zanotowałem, że Janusz zaczął pisać ciekawe naukowe monografie, nie unikając w nich rozważań filozoficznych. Pierwszą taką pozycją była traktująca o termodynamice książka „Ile waży ciepło”, której tytuł wydawca bez specjalnych z nim uzgodnień przemianował na „Rozwój pojęcia energii”. Ta z dowcipem napisana ponad tysięczstronicowa „biblia”, stanowi unikalny przewodnik po prawach rządzących energią i po maszynach je wykorzystujących. Zdobyła uznanie w gronie nie tylko specjalistów, ale i studentów. Teraz tłumaczona jest na język angielski. Ale na niej nie poprzestał i kiedy większość w jego wieku szykuje się do emerytury, profesor Badur – prawdziwy człowiek renesansu, znów nas zaskoczył. Napisał dzieło, tym razem już o wyraźnie filozoficznym przesłaniu „O wieczystej konwersji energii”. Dokonuje w nim przeglądu tematycznych przemysłów wielkich uczonych ze swym oryginalnym komentarzem. Pokazuje, że energia, termodynamika i Stwórca Świata mają ze sobą więcej wspólnego, niż nam się

to wydaje. Próbuje przesunąć granicę ludzkiego poznania, której nikomu nigdy nie udało się i na pewno nie uda osiągnąć. Zaczął od Arystotelesa, poprzez Newtona, Carnota, Joule'a, sięgnął Einsteina.

Gdy na Walnym Zebraniu w Gdańskim Towarzystwie Naukowym prezentował główne tezy tej książki i ze swadą wyjaśniał najtrudniejsze pojęcia energii, entropii i wieczystych przemian im towarzyszących, słuchałem to z fascynacją. W pewnej chwili doznałem olśnienia i znieruchomiałem. Wszak nie tak dawno oglądałem w kościele Mariackim kopię „Sądu ostatecznego” Memlinga. Przedstawione tam wyobrażenie piekła i nieba przeraża. Coraz trudniej przychodzi mi akceptacja wykreowanych tam obrazów zaświatów, Trójcy Świętej, aniołów i oczywiście diabłów. I wtedy uświadomiłem sobie, że wieczysta konwersja energii na świecie dotyczy nie tylko ruchu nieboskłonu, ciał stałych, ciekłych, gazowych, zamiany ciepła w pracę i prąd elektryczny, opisu towarzyszących temu strat, ale dotyczy też człowieka, który jest z tymi przemianami ściśle powiązany. Przecież oddycha i wydycha, trawi i wydalą, a dopiero gdy serce milknie i procesy ustają, ginie. Jeśli zważyć, że ludzkie ciało rzeczywiście umiera złożone do ziemi, to udział człowieka w konwersji energii jednak nie zamiera. Nawet człowiecze głosy, które wcześniej uszły w postaci energii fal akustycznych trwają nadal w przestrzeni, a jeszcze bardziej nieuchwytnie myśli, przetworzone na fale elektromagnetyczne, szybują jak „dusze” we wszechświecie. Teraz mogą się o tym przekonać użytkownicy komputerów, gdy po omyłkowym wciśnięciu klawisza bezpowrotnie wysyłają informacje gdzieś w chmurę, czyli w przysłowiową „siną dal”.

Warto zadać sobie zatem pytanie: na czym po śmierci polega oddzielenie ciała od duszy? Czy, jak u Memlinga, na końcu świata „dusze” będą się personalizować? Czy trwać dalej w otaczającej nieskończoności na wieki – dobre w chwale, złe w niebycie. Każdy, w szczególności, gdy zbliża się do swego kresu, próbuje rozliczać życie, weryfikować powiązane z religią teorie na temat genezy powstania świata, ludzkiej egzystencji. Trudno bezstronnie określić przewagi tych, czy innych wierzeń, ale wszystkie dogmaty religijne, przy różnych narracjach, akceptują nadprzyrodzoną rolę Stwórcy. Przy zachowaniu w sumie podobnych przykazań postępowania ludzi wobec siebie i wobec otaczającej przyrody, nie przeszkadzało to prowadzić na świecie krwawych wojen, które z trudem próbowali pogodzić wielcy kościołów. Wydaje się, że w skłóconym świecie czas na pojednanie, dialog rozpoczął papież Jan Paweł II, wychodząc naprzeciw nie tylko do braci w Chrystusie: protestantów i prawosławnych, ale też ku islamowi, judaizmowi, buddyzmie...



Przed światem wiele problemów do rozwiązania, na czoło nasuwają się znów pytania, które z dogmatów wiary są niezienne i czy mogą one unicestwić racjonalne myślenie. Na przestrzeni wieków z wielu się wycofano, co kosztowało utratę życia rzeszy ludzi. Te walki nie zniszczyły jednak religii, wiary nie złamały przecież epokowe odkrycia naukowe Kopernika, Darwina, Einsteina. W ludzką naturę wpisana jest wiara w nieskończoność, wieczność. Inaczej pozostaje pustka, stracone złudzenia. Wierzę, ale także po to, żeby więcej wiedzieć. Nie negując zatem nadprzyrodzonej istoty Boga, przy uznaniu dyscyplinującej roli kościoła, ale tego nieszerzącego nienawiści, trudno mi się zgodzić, że prawy Chińczyk, który w swym życiu nie poznał nauk Jezusa Chrystusa, będzie po śmierci skazany na pobyt w piekle. Podczas gdy katolik morderca, po spowiedzi i odbytej pokucie może pójść do raju, by tam cieszyć się razem ze świętymi po wieczne czasy. W islamie mówią, że na mężczyzn, którzy mordują w imię Boga czekać będą piękne huryski.

Mojej duszy znacznie jest bliżej do uczciwego Chińczyka niż do rozgrzeszonego mordercy, czy bezbożnego i cynicznego arcykapłana.



Sąd Ostateczny Memlinga

## Krynica, Nowy Dom Zdrojowy

W mojej pamięci Krynica zawsze kojarzyła się ze znakomitym polskim tenorem Janem Kiepurą, który w tej pięknej podgórskiej miejscowości nie tylko śpiewał, ale jeszcze przed wojną zaczął budować domy sanatoryjne. Do jednego z nich – Nowego Domu Zdrojowego wyjechali z końcem lat 70. moi rodzice. Wrócili zachwyceni, wypoczęci. Zapamiętałem, że Mama reumatyzm leczyła w kąpielach borowinowych, a Tato wypijał tam litry wody Jana, zbawienne na jego chore nerki.

Temat Krynicy znów ożył, gdy zaczął tam wyjeżdżać w latach 90. mój starszy kolega Krystyn Grabowski. Jak mówił, nie tylko korzystał z zabiegów leczniczych, ale przygotowywał też formę do sezonu narciarskiego, który spędzał z nami w Dolomitach. Wkrótce i ja zacząłem dojrzywać do takich planów. Dzieci dawno się usamodzielnily, Hania zrezygnowała z nart po groźnej kontuzji kolana, a ja zbliżałem się do siedemdziesiątki i z coraz większym trudem nadążałem na wymagających alpejskich trasach za narciarzami grupy państwa Zasłonków, z którymi wyjeżdżałem na urlop. Krystyn już nie żył, znalazłem podane przez niego telefony. Zadzwońłem w ciemno, odezwał się Nowy Dom Zdrojowy. Bez trudu zamówiłem na tydzień czteroosobowy apartament. Ceny w stosunku do włoskich i austriackich były atrakcyjne. Do kuszетки wsiedli ze mną Mirek Welizarowicz i Sylwek Tomaszewski, dobrzy kompani z obozów narciarskich i nie tylko.

Był rok 2008. Bezpośredni pociąg z Gdańska do Krynicy przez Warszawę jechał 16 godzin, co i tak było znacznie krócej od przejazdu autobusem do Włoch. Do Krakowa jechało się w miarę szybko, ale potem, kiedy wjechaliśmy w góry, pociąg znacznie zwolnił. Obsługujący kuszетки konduktor śpiewnym głosem zapytał:

– Co podać na śniadanie?

W spisie figurowała tylko kawa i herbata z ciastkiem.

– Jajecznicy na boczkach z bułeczką – odpowiedziałem beczelnie i zacząłem negocjować cenę.

Był zaskoczony, ale zamówienie przyjął. Na stacji w Strzyżach pojazd zatrzymał się trochę dłużej i wtedy nasz konduktor wyskoczył do dworcowego baru i za chwilę z tryumfem przyniósł jaja na twardo ze świeżym chlebem. Przysiadł na chwilę, żeby pogadać. Dobijał do sześćdziesiątki i liczył na obiecaną przez opozycyjny PiS przyspieszoną emeryturę. Do rządzących był agresywny.

– Za komuny nie było źle, a tu przyszli nowi i wszystko rozkradli, jest gorzej... – perorował.

Do Krynicy dojechaliśmy w południe. Na dworcu czekał rząd taksówek, ale z pociągu wyszło zaledwie kilka osób. Załadowaliśmy się do wygodnego busika, który czekał na przyjezdnych.

– Panowie na narty? – zapytał nas kierowca.

– Dobrze, że nie przyjechaliście autem, bo tu są kłopoty z parkowaniem, a ja mogę was obsłużyć do końca turnusu. Ceny porównywalne do biletów autobusowych, przyjazd na zawołanie.

Wkrótce minęliśmy krynicki deptak i za chwilę byliśmy w naszym Domu Zdrojowym.

– Mam na imię Emil – rzucił na odchodnym i wręczył nam swoją wizytówkę.

W recepcji przywitała nas Bernadetka. Po rejestracji przekazała klucze do apartamentu i zaprosiła do jadalni na przysługującą nam obiadokolację. Zbudowany przed wojną Nowy Dom Zdrojowy zdążył już się zestarzeć, ale nadal miał urok dawnej nowoczesności. Przestronne hole i schody wyściełane czerwonymi dywanami, duża jadalnia, biblioteka i sale do spotkań. Dostaliśmy dwupokojowy apartament na trzecim piętrze z łazienką i z obszernym korytarzem. Wyspani, rano zeszliśmy na śniadanie. Zastaliśmy tam już kuracjuszy, a w zasadzie kuracjuszki, bo starsze panie stanowiły większość. Wystrój jadalni przypominał czasy wczesnego Gierka, a współtowarzyszki wciwały mleczną zupę. Do stolika podeszła szefowa pani Ania i przedstawiła nam obowiązujące w sanatorium reguły. Była otwarta na nasze zachcianki i dopuszczała późne powroty z nart.

Śniadanie smakowało, biegiem udaliśmy się do gabinetu lekarskiego, gdzie czekał na nas emerytowany doktor Chuchro. Po krótkim badaniu rozpiął zabiegi. To był lekarz starej daty, otwarty na ludzi, zafascynowany gdańskim sierpniem, dlatego z miejsca zdobył naszą sympatię. Przybliżył nam atmosferę panującą w krynickim establishmencie. Właśnie umarł w krakowskim szpitalu jego starszy kolega Jerzy Ziobro, człowiek partyjnej nomenklatury, który w czasach PRL był naczelnym doktorem całego uzdrowiska. Teraz jego syn, który został ministrem sprawiedliwości niszczy komunistów. Mało, wykorzystując zdobyte przez siebie prerogatywy oskarża o wymaginowane zaniedbania ratujących ojca lekarzy. Nie wiadomo, czy z zemsty, czy dla odszkodowania.

–„Pan prokurator ma rację, mamy w Polsce demokrację” śpiewał za PRL-u Maciej Zembaty – przypomniał nam na zakończenie pan Chuchro, ale był wyraźnie zniesmaczony.

Jeszcze tego samego dnia Emil zawiózł nas na Słotwiny, najbliższy stok narciarski. Spadło dużo śniegu, mogliśmy się przekonać, jak trudno było znaleźć miejsce na parkingu. Gdy skręcił w stronę wyciągu w drogę z zakazem wjazdu, ostro zaprotestowałem. Odpowiedział ze śmiechem, że on jest tutejszy, a jego auto jak poczuje pieniądze, wjedzie na każdą górę. I oczywiście wjechał. Udanie otworzyliśmy sezon na nartach. Zdążyliśmy na posiłek, a nawet na wieczorną mszę w niedalekim kościele. To było tuż po Trzech Królach. Słuchaliśmy, jak ludzie gór pięknie śpiewają kolędy, ale byliśmy już trochę zmęczeni i nie wysłuchaliśmy do końca wykładu senatora Koguta, byłego maszynisty parowozów, który w tym kościele właśnie rozwijał polityczną karierę.

W poniedziałek z samego rana pospieszyliśmy na zabiegi. Udało się wciśnąć na poranne sesje, dzięki czemu mogliśmy codziennie wyruszać wcześniej na narciarskie stoki. Przepisana przez doktora Chuchrę kuracja świetnie się sprawdzała. Poznaliśmy czary kąpeli perełkowych w miedzianych wannach, super zimnej krioniki, czy biczy wodnych. Korzystaliśmy ze zbawiennej dla naszych gardel inhalacji, a do tego piliśmy miksturę Zubera z leczniczą Wodą Jana. Jak wiadomo jest ona bardzo dobra dla pobudzenia perystaltyki kiszek i lepszego siusiania, a ponoć przeciwdziała wypadaniu włosów. Próbowaliśmy też kąpać się w borowinie, z której jednak szybko zrezygnowałem, nie dlatego że trzeba było biec do innego gmachu, ale przede wszystkim z powodu kłopotów z wypłukaniem błota z wszystkich zakamarków ciała.

Bez wątpienia największym krynickim odkryciem stał się jednak pan Szczepan. Ten niezwykle uzdolniony fizykoterapeuta skutecznie masował nasze zmęczone ciała, i to za nieduże pieniądze. Po jego seansach, w których skutecznie prostował nam kręgosłupy, likwidował złogi i zakwasy, byliśmy zawsze gotowi do wyjścia na miasto. Wieczory przeznaczone bowiem były na spacer i atrakcje, które w Krynicy serwowane są kuracjuszom w nadmiarze. Mogliśmy wybierać między koncertami w pobliskim Starym Domu i w Pijalni Wód, z zakrapianymi kolacyjkami w uroczych knajpkach, czy zakupami różnego baracha w dość dobrze zaopatrzonych sklepikach na deptaku. Kiedy do tego odkryliśmy, że na Jaworzynie Krynickiej można pohulać na trudniejszych stokach narciarskich, Nowy Dom Zdrojowy stał się naszą bazą treningową przed wyjazdami w Dolomity.

Krynica byliśmy tak zauroczeni, że nie przeszkadzały nam niemiłosiernie długie kolejowe podróże, przypominające czasy cesarza Franciszka Józefa. Nie wadziły siermiężnie wyposażone pokoje, orczykowe wyciągi, czy nawet jazda na nartach na nieprzygotowanych trasach. Niestety nie mogliśmy przekonać do takich warunków naszych żon, nie udało się też namówić kolegów z tras alpejskich. Jedynym, który zdecydował się nam wtedy towarzyszyć był Zbyszek Chył. Nieco od nas młodszy, bez wahania zgodził się też, że będzie biegać po piwo.

Wyjeżdżamy zawsze w połowie stycznia, po okresie świątecznym, przed przerwą zimową młodzieży szkolnej, bo wówczas na stokach są najmniejsze kolejki do wyciągów narciarskich. Ta fascynacja trwa już z górą 10 lat. Staliśmy się zatem świadkami wielu zmian, jakie zaczęły docierać do tego zaniedbanego przez lata regionu Małopolski. Dziś do Krakowa wiezie nas luksusowe Pendolino, a po przesiadce do busa Szwa-groszczaka, już po ośmiu godzinach podróży zasiadamy do obiadokolacji w sali jadalnej. Z bliska obserwujemy, jak dzięki dopływowi pieniędzy Unii Europejskiej rozwija się miasto. Odrestaurowano krynicki deptak i Stary Dom Zdrojowy, przebudowano pijalnię wód, a brudne piece węglowe wymieniane są na wolne od smogu systemy gazowe. Zmieniło się też na stokach narciarskich. Większość prywatnych tras jest teraz naśnieżana i ratrakowana, pracują nowoczesne wyciągi. Obok Słotwin otworzono prywatne ośrodki w Tyliczu i w centrum na Henrykowie. Powiększono parkingi i uruchomiono wygodny dojazd.

Ten optymizm burzą nieco niektórzy właściciele gruntów i zarządzający miastem, którzy nie są w stanie połączyć blisko leżących wyciągów w jeden system. Do tej pory nie wprowadzono wspólnego karnetu. Państwowa kolejka na Jaworzynę dalej zachowuje swój cenowy monopol, co przy fatalnym nadzorze tras zjazdowych wkurza narciarskie towarzystwo. To zapewne jest też jedną z przyczyn, że Krynica omijają zagraniczni goście, nawet ci ze wschodu. Ostatnio do miasta zawitały profesjonalne agencje kulturalne i turystyczne. Można tu teraz nie tylko posłuchać dobrej muzyki, ale też pojechać na wycieczkę do Budapesztu lub do ciepłych źródeł na Słowacji. Można wybrać się do teatrów krakowskich lub na konkursy skoków do Zakopanego. W kościele, chociaż ksiądz proboszcz stale „przepędza” hufce Owsiaka, nie natrafiliśmy już na polityczne wystąpienia. Koguta zamknęli w kryminale. Miasteczko jest czyste, dobrze oświetlone, ruch jest dość dobrze uporządkowany.



Mirek, Sylwek i Andrzej na szczycie Jaworzyny Krynickiej

Wokół powstały nowe, luksusowe prywatne hotele i sanatoria, z dostępem do salonów SPA i basenów. W tych restauracjach podają wykwintne dania: raki, kraby, ośmiorniczki, bażanty. Oczywiście są większe ceny, przy braku klientów zagranicznych coraz częściej organizowane są tam elitarne konferencje. Z wielką pompą fetowano ostatnio zdobycie przez Jarosława Kaczyńskiego tytułu człowieka roku, który przyznano podczas Forum Ekonomicznego. W Nowym Domu Zdrojowym, póki co zmian jest niewiele, chociaż ruszyły obie windy i udostępniono Internet. Ale jest miło, a za pobyt płacimy nadal od osoby tylko 750 zł tygodniowo. Do Bernadetki dołączyli Artur i Dorotka, którzy udostępniłi nam swoje pakamery i nie musimy już codziennie nosić nart na górę. Trochę przeszkadza nam ograniczony dostęp do niepublicznej telewizji, bo tej narodowej Kurskiego nie oglądamy przecież z zasady. Kiedy 13 stycznia 2019 roku dostaliśmy niepokojące informacje z Gdańska i Zbyszek otworzył program TVP 1, nie mogliśmy rozstrzygnąć, czy zabito prezydenta,

czy to Adamowicz zabił prześladowcę, który go stale tropił. W sali jadalnej, gdzie podawane są smaczne potrawy, zwykle siedzi koło nas, emerytowany pułkownik z żoną, lekarz z Krakowa, który odpoczywa tu po wojskowych misjach w Azji i Afryce. Często spotykamy też starszą panią w stroju narciarskim i w goglach na głowie. Gogle zakłada chyba tylko dla szpanu, nigdy nie spotkaliśmy jej na stoku.

Zaprzyjaźniony z nami Emil dalej dowozi nas na narty, a po każdym udanym dniu częstuje pędzoną przez siebie mocną śliwownicą, zwana Kurwicą. Do tej śliwownicy pasują szczególnie marynowane rydze, które kupujemy u Ani, kelnerki restauracji „Hawana”. Bawiliśmy się tam już kilka razy, ale naszą ukochaną knajpką w Krynicy jest „Myśliwska”. To gustownie urządzone lokal dla koneserów dobrej wyżerki. Znajomy kelner serwuje nam na wejściu smażone rydze, a potem

do wyboru świńską golonkę lub końskiego tataru. Mirek, na każdą nóżkę zamawia pięćdziesiątkę, zwykle trzeci kieliszek jest na dodatkowe zamówienie, ale czwarty pijemy już gratisowo. Stawia szef kuchni.

Jesteśmy coraz starsi i czasami ktoś wypada z turnusu, a to jakiś zabieg, a to wymiana stawu albo choroba małżonki. Nasze wyjazdy wśród znajomych mają teraz taką renomę, że na puste miejsce są chętni. W większości meldowali się tutaj koledzy z boiska. Był z nami Bociiek, dojeżdżał na dni kilka Olek. Andrzejowi Lechowi, który wtedy prezesował austriackiej Polonii tak się tu spodobało, że w Krynicy zorganizował Zimowe Igrzyska dla polskich emigrantów z całego świata.

Ostatnio na wyjazd z nami zdecydował się znany gdański redaktor Dariusz Szreter, którego przyszło mi uczyć jazdy na nartach. Z powodzeniem, chociaż wielokrotnie lądował w siatkach zabezpieczających, które dotąd znał z telewizyjnych transmisji. Musiał zwolnić nie tylko



Kurwica i rydze

w trakcie zjazdów, w górach nie trzeba przecież było biegać na odprawy do redakcji, odbierać pilnych telefonów, wysłuchiwać kłócących się o wszystko polityków. My w Krynicy, do takiego życia pełnego spokoju dołączyliśmy wcześniej, czerpiąc z przykładu mieszkających tu ludzi, którym nigdzie się nie spieszy. Dlatego na styczniowe narty ruszamy z ochotą każdego roku. Wydawało się, że krynicką przygodę zakończy Sylwek. Po operacji biodra podpierał się kulą, ale pojechał i kuśtykając, wszedł na Słotwiny. Gdy ruszył z góry, znów zaczął tańczyć między muldami, a na dole popłakał się ze szczęścia.

Oczywiście zapisaliśmy się na turnus 2021, ale ten wyjazd przekreślił nam przekłety koronawirus. Zapewne przyjedziemy tu w przyszłym roku, już zawiadomiono nas, że rezerwacja jest ważna.



## Niespodzianka Anusi

Ania słynie ze zwariowanych pomysłów, które zresztą realizuje z żelazną konsekwencją. Mogę rzec nieskromnie: moja krew! Przy naszym kolejnym spotkaniu rzuciła mimochodem:

– Tato, szukuję dla ciebie niespodziankę. Bądź gotowy na połowę września.

Całkiem już o tym zapomniałem, gdy w telefonie usłyszałem jej głos:

– Za trzy dni, w piątek 12 września 2019 roku lecisz z moją rodziną do Lwowa, wszystko jest dopięte na ostatni guzik, to prezent na twoje osiemdziesiąte urodziny. Przygotuj się, będziesz naszym przewodnikiem.

Akurat skończyłem czytać książkę „Chodząc po Lwowie”, którą podarował mi jej autor, profesor Riedl. Odnalazłem stare mapy i zatelefonowałem do pana Jana Tysona. Jego rekomendacje w zwiedzaniu miasta przekazał mi Jędrzek, cioteczny brat z Warszawy.

Wczesnym rankiem stawilem się na gdańskim lotnisku. Czekala tam już na mnie Ania z mężem Bartkiem i dziećmi: Basią oraz Tadkiem. Po krótkiej odprawie siedzieliśmy już w samolocie i za godzinę byliśmy na miejscu we Lwowie. Niewielki port lotniczy, ale zaprojektowany i zbudowany ze smakiem, lśnił czystością.

Na odprawie granicznej nie szukano już w walizkach zakazanych do niedawna książek, religijnych atrybutów: krzyżyków, różańców, nie pymano o biżuterię, nawet o pieniądze. Bez kłopotów odebraliśmy bagaże i po kontroli paszportów, udaliśmy się do wyjścia. Czekala tam taksówka, która zawiozła nas do wynajętego mieszkania, sto metrów od Katedry Łacińskiej. Bartek dostał klucze, wzięliśmy prysznic i za chwilę siedzieliśmy na śniadaniu w luksusowej kawiarni na Starym Rynku. Wyszedłem do toalety i tu dopiero zrozumiałem, dlaczego we Lwowie mówiono, że na stronę chodzi się do pana Edzia.

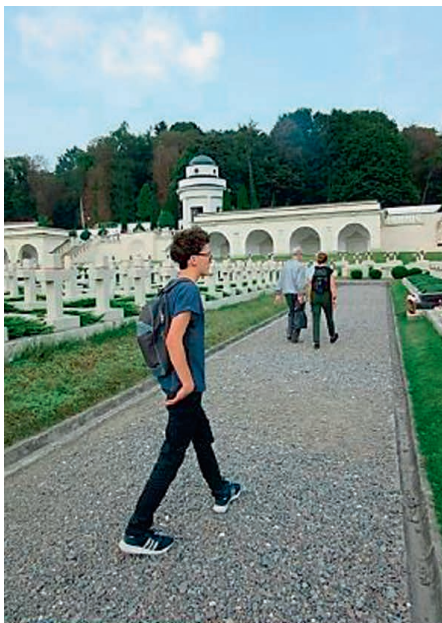


Znana we Lwowie toaleta  
pana Edzia

Za wschodnią granicę wyjeżdżałem po wielokroć, ale tym razem przeżyłem szok. Wydawało się mi, że Ukraina po odzyskaniu niepodległości, przy ograniczonych kontaktach ze światem zachodnim i stałych naciskach Rosji, nie tylko politycznych, nie ma szans na szybki rozwój. Teraz zmieniłem zdanie. Istotne zmiany zapoczątkowały Mistrzostwa Europy w Piłce Nożnej EURO 2012, zaproponowane we Lwowie przez polskich i ukraińskich działaczy na Jubileuszu Kazimierza Górskiego. Naocznie się przekonałem jak wielka jest rola sportu w obecnym świecie.

Pogoda była piękna, przygotowany przez Anię i Bartka plan napięty. Pierwszy dzień przeznaczyli na zwiedzanie Cmentarza na Łyczakowie. Czekał tam już pan Jan Tyson, licencjonowany lwowski przewodnik, a równocześnie członek Stowarzyszenia Miłośników Cmentarza na Łyczakowie. Ucieszył się, gdy usłyszał, że urodziłem się we Lwowie, a jeszcze bardziej, gdy dowiedział się, że mieszkałem na Nabelaka. On pod numerem 29 mieszka tam do tej pory. Starszy ode mnie wspominał, że mojemu dziadkowi Jabłońskiemu w czasie wojny codziennie rano kupował świeże bułeczki. Od razu zaprowadził nas na jego zadbane grób. Myślałem, że łyczakowską nekropolię znam dość dobrze, jednak ostatni raz byłem tu w 2003 roku, kiedy to z wielkim trudem udało się odbudować zniszczone katakumby polskich Obrońców Lwowa. Tym razem obok poległych Orłąt odtworzono groby Ukraińców, którzy zginęli wtedy w bratobójczej walce. Przypominają o tym pamiątkowe tablice, mówiące o pojednaniu we wspólnym europejskim domu. Teraz nikt nie niszczy polskich grobów, które w większości z pomocą naszego państwa, zostały pięknie odrestaurowane. Moje wnuki były zachwycone, oglądając wspaniałe kaplice, groby sławnych Polaków, bohaterów powstania listopadowego i styczniowego. Tadek mógł wreszcie zobaczyć w katakumbach mogiłę swego słynnego imiennika – brata mojej Mamy, lwowskiego Orłęcia Tadeusza Jabłońskiego. Zwiedzanie zajęło nam bite siedem godzin. Podziwiałem kondycję starszego ode mnie przewodnika Jana, który nie tylko dziarsko maszerował, ale cały czas z gestykulacją opowiadał, nie dopuszczając nawet mnie do głosu, co – jak wiadomo – udaje się tylko nielicznym.

W drugim dniu zwiedzaliśmy słynne lwowskie świątynie: katedry łańcińską i ormiańską, greko-katolicką św. Jura i prawosławną cerkiew Wołoską, gdzie nadal znajdują się siedziby arcybiskupów. Starą Synagogę w czasie wojny wysadzili w powietrze hitlerowcy, a kościół ewangelicki niestety był zamknięty. Zgodnie z planem ruszyliśmy na Wysoki Zamek, czyli kopiec Unii Lubelskiej, by stamtąd spojrzeć na wspaniałą panoramę



Groby poległych w 1920 roku Polaków i Ukraińców na Cmentarzu Łyczakowskim

Lwowa. Czekał tam na nas Andrej Kowalskij, którego polecił mi siostrzeniec profesor Piotr Czauderna. Kiedyś doskonalił swe chirurgiczne kwalifikacje w Ameryce, teraz pomaga dokształcać się specjalistom zza naszej wschodniej granicy.

Doktor Andrej do lwowianin od urodzenia, Ukrainiec z polskimi korzeniami, kardiolog z wykształcenia, wreszcie otwarty na świat Europejczyk. Na godzinę zaprosił Anię na swój oddział w szpitalu, ale potem do wieczora był do naszej dyspozycji. Świetnie znał miasto, dobrze mówił nie tylko po polsku, ale po rosyjsku i angielsku. Zaprezentował nam historię miasta od powstania do obecnych czasów, także z punktu widzenia braci Rusinów. Idąc wzdłuż Wałów Gubernatorskich, nie omińliśmy monumentalnego klasztoru i kościoła dominikanów, a potem za murami Starego Miasta zaglądaliśmy do różnych zaułków, uroczych knajpek, w tym także do pierwszej na ziemiach polskich kawiarni. Jak głosi legenda, kawę przemycił tam Jerzy Kulczycki, zaraz po wiedeńskim zwycięstwie w bitwie nad Turkami króla Jana III Sobieskiego. Na końcu wylądowaliśmy w słynnej kawiarni Szkockiej, gdzie genialny polski matematyk Stefan Banach, razem z równie świetnymi kolegami, rozwiązywał na papierowych obrusach najtrudniejsze zadania analizy funkcjonalnej. W gustownie urządzonym lokalu zjedliśmy obiad, a Basia mogła zweryfikować swe matematyczne zdolności w rozwiązywaniu udostępnionych nam przez kelnera Banachowych Testów.

Późnym wieczorem ruszyliśmy jeszcze na Rynek, gdzie w Teatrze Piwa bawiła się miejscowa bohema oraz studenci. We Lwowie studiuje ich niemal sto tysięcy, właśnie rozpoczęli rok akademicki. Większość, dopiero co wróciła z saksów w naszym kraju. Otwarci na świat, znający języki, chętnie służyli pomocą. A ja miałem cały czas w pamięci inny, zamknięty i biedny Lwów końca wieku, o czym pisałem w pierwszej części „Fidrygalek”. Teraz te radosne ulice i przyjazny stosunek młodych Ukraińców do Polaków był dla mnie dużym zaskoczeniem.

Niedzielę zaczęliśmy od mszy w polskim kościele św. Marii Magdaleny, gdzie byliśmy ponownie umówieni z panem Tysonem. Pokazał nam piękne barokowe ołtarze i ostatnio odtworzone freski Rosena w starej chrzcielnicy, gdzie do niedawna były toalety filharmonii. Na chwilę wstąpiłem do przykościelnej szkoły, gdzie w 1945 roku zaczynałem swą edukację. Stamtąd dotarliśmy na Nabelaka. Rodzinny dom był odnowiony, ale drzwi zamknięte. Zamknięta także była znajdująca się w pobliżu Politechnika



Lwowska. Z drobnymi „kłopotami” udało mi się jednak przekonać szefa straży, by otworzył wielkie wrota do przepięknie zdobionej auli. Na suficie mogliśmy zobaczyć piękne malowidła mistrza Jana Matejki i jego uczniów. Dalej droga prowadziła do kościoła św. Elżbiety, którego strzelisty dach leży dokładnie na dziale wodnym Wisły i Dniestru. Według brata Mamy, wujka Kazia, gdy pada deszcz, to woda z jednej strony dachu płynie do Bałtyku, z drugiej do Morza Czarnego.

Przy stojącym niedaleko pomniku ukraińskiego bohatera Stepana Bandery, pan Jan przeprosił nas na chwilę, odwrócił się i trzykrotnie splunął. Wnuki mogły się przekonać, jak żywa jest nienawiść w jego pokoleniu, które pamięta bandyckie pogromy Polaków w czasie II Wojny Światowej. Tej nienawiści polsko-ukraińskiej nie udało się do końca złamać nawet naszemu Papieżowi podczas jego pasterskich wizyt po obu stronach granicy. A przecież Bandera, ideolog ukraińskiego nacjonalizmu, to postać kontrowersyjna. W pogromach nie brał bezpośredniego udziału. Skazany przed wojną przez Polaków na dożywocie za zamach stanu został we wrześniu 1939 roku oswobodzony z Twierdzy Brzeskiej przez Armię Czerwoną. Rosjan dla swych narodowych idei szybko zdradził, ale po przejściu na stronę niemiecką nie udało mu się utworzyć Tymczasowego Rządu Ukraińskiego. Za niesubordynację, decyzją Hitlera został w 1943 roku odizolowany w obozie jenieckim.



Z Anią przy pomniku

Kiedy zaś po skończonej wojnie osamotniony i przegrany osiadł na Zachodzie w Wiedniu, nie uniknął śmierci z rąk tropiących go siepaczy Stalina.

Zgodnie z planem odwiedziliśmy jeszcze monumentalne zabudowania Dworca Głównego i Uniwersytetu, a naszą marszrutę zakończyliśmy przy pomniku Mickiewicza na placu Mariackim, gdzie pan Jan wyrecytował z patriotycznym uniesieniem „Ode Młodości”. Pozostała chwila czasu na odświeżenie i przebranie i już biegliśmy Wałami Hetmańskim do Teatru Wielkiego na galowe przedstawienie „Aidy” Verdiego. Z operowym chórem śpiewałem głośno marsz tryumfalny.

W poniedziałek, już po spakowaniu, powtórzyliśmy zwiedzanie niektórych fragmentów starego miasta.

W pełnej krasie jawiły się przed nami ołtarze Katedry Metropolitalnej, Kaplicy Boimów, kościołów Bernardynów i św. Piotra i Pawła. W tym ostatnim duże wrażenie robiły groby niedawno pochowanych ukraińskich bohaterów, mieszkańców Lwowa, którzy zginęli w wojnie z Rosją o Donbas, Donieck. Wycieczkę zamknęliśmy w Wiedeńskiej Kawiarni, gdzie do znakomitej kawy, podano rekomendowany przeze mnie, słynny w Galicji tort Sachera. Tam podjechały taksówki, które odwiozły nas na lotnisko. Obiad zjedliśmy już w Gdańsku. Tak zakończyła się niespodzianka Anusi, najpiękniejszy prezent urodzinowy i niezapomniana lekcja historii dla wnuków.

Zwiedzając wtedy miasto, nachodziłem się ponad miarę. Zniszczone buty wyrzuciłem do kosza jeszcze we Lwowie. Licznik noszonego na ręce chronometru pokazał, że w ciągu trzech dni zrobiłem ponad 70 tysięcy kroków, podczas gdy moja dotychczasowa, z trudem wypełniania norma dzienna nie przekraczała 7 tysięcy. „Przeklęty” krokomierz zgubiłem chyba na lotnisku i od tego czasu przestałem określać odległości i liczyć kroki.

## Ojciec i syn

Jak już napisałem w pierwszej części „Fidrygalków”, ojca zobaczyłem pierwszy raz w życiu w listopadzie 1945 roku. Wrócił wtedy z wojennej tułaczki. Skończyłem już sześć lat, z natury rzeczy ominęły mnie jego czułości, dotyczące całego okresu przedszkolnego. Tato po powrocie z Zachodu był pełen optymizmu, nie spodziewał się, że Polska przymusowo wcielona do rosyjskiej strefy wpływów, utraci swą niezależność. Szokiem dla niego, który wracał ze Szwajcarii było nie tyle ograniczenie demokracji i praw własności, ale brutalny sposób, w jaki złamano wszelki opór społeczny. Tymczasem w zniszczonym kraju wszystkiego brakowało, nie było zatem wyjścia, trzeba się było ostro zabrać do roboty. To był bardzo trudny wybór dla większości. Ojciec w ten wir pracy rzucił się bez wahania. Był doskonale wyszkolonym ginekologiem, nie tylko leczył, operował, dyżurował, ale też od podstaw organizował gdańskie szpitale, szkolił następców. Harował przez sześć dni w tygodniu (soboty były pracujące) od rana do wieczora, często nie wykorzystywał urlopu. Tego zaangażowania wymagał nie tylko od siebie. Dzięki pracy zapewniał najbliższym dostatek, służąc pomocą lwowskiej rodzinie, a co najważniejsze także całej gdańskiej społeczności.

Dorastałem. Moje z nim stosunki nie były zbyt bliskie, wydawały się raczej szorstkie. Trudno się zaprzyjaźnić z człowiekiem, który najczęściej przebywał w szpitalu, a o sobie mówił niewiele, co zresztą było charakterystyczne dla całego przegranego pokolenia jego rówieśników. Co wieczór słuchał Wolnej Europy, ale nie wierzył w pomoc krajów zachodnich. Dla mnie nie był surowy, jednak wymagał zdyscyplinowania. Cieszyły go moje postępy szkolne i sportowe, ale na wywiadówki chodziła prowadząca dom Mama, a na moje mecze, nawet te najważniejsze, wybierał się rzadko. Praktycznie nie wyjeżdżaliśmy na wspólne urlopy, chociaż w czasach „Żelaznej Kurtyny”, przy zamkniętych granicach, udało się Tacie zorganizować dwie eskapady po Europie Zachodniej.

Jedyną, intymną rozmową, jaką wówczas zapamiętałem na długo, dotyczyła mego uświadomienia przed wyjazdem na dłuższą praktykę studencką. Z powagą na osobności spytał mnie wtedy:

– Czy z kapucyna ci się trzepie?

Obaj gruchnęliśmy takim śmiechem, że Mama, która była animatorką tej rozmowy, myślała żeśmy zwariowali. Od tego czasu Ojciec nie ingerował w moje poczynania, plany życiowe, ani w rozwój kariery. Do dziś pamiętam

jego maksymę, że „każdy jest kowalem swojego losu”. Sam usłyszał ją od swego ojca, gdy opuszczał dom w Rożdżałowie i poszedł na studia medyczne. Było to równoznaczne z utratą praw do rodzinnego majątku, bo – jak krótko wyjaśniał – dobytek na wsi trzeba doglądać, ziemia zawsze musi rodzić.

Ojciec złagodniał na stare lata, kiedy poszedł na emeryturę. Po opuszczeniu służbowego mieszkania przyszło mu wtedy budować dom, który z dumą skończył razem z Jókim, mężem mojej siostry. Czuł się spełniony, choć zbliżał się jego kres. Dopiero wtedy zaczął ze mną rozmawiać poważnie. Pamiętam, jak paląc papierosa, mówił:

– Taki system, w którym gówno zakwita, kiedyś musi się skończyć.

Po chwili życzył, bym doczekał w Polsce demokracji, na którą sam czekał bez skutku całe życie. Umarł nagle, na zawał serca, w trakcie turnieju szachowego dla lekarzy w Poznaniu. Nie zdobył wtedy mistrzostwa oldbojów, nie dożył też siedemdziesiątki. Po ciału Taty pojechałem osobiście. Wróciłem po północy, ale długo trwałem przy trumnie w szpitalnej kaplicy. Modlitwa nie zastąpiła już zwierzeń. Dopiero kilka dni później w Rzymie wybrano Karola Wojtyłę na papieża...

Był rok 1968, gdy przyszedł na świat mój syn Paweł. Wróciłem wówczas z Zachodu, ze sportowego tournée po północnej Francji. Od zarania mając w pamięci moją relację z ojcem, starałem się poświęcać mu więcej czasu. Ale i ja stałem się pracoholikiem. Kończyłem trudną profesjonalną karierę piłkarza ręcznego, a równocześnie zacząłem pisać nieco spóźniony doktorat. Potem gdy urodziła się Anusia, razem z kolegami z Instytutu rzuciłem się na szaleńczą wówczas budowę własnego domu. Jakże kłopotliwe było mieszkanie z dziećmi w kwaterunkowych i spółdzielczych kłitkach, do tego z ciemną kuchnią.

Mimo nadmiaru zajęć, obowiązkowo wyjeżdżaliśmy latem nad jezioro do domku Świców, a zimą na narty do Bukowiny. Jednak moje kontakty z dorastającym synem stale się rozluźniały. Pilnowałem jego postępów w nauce, ale nie ingerowałem w jego wybory. Na medycynę poszedł za namową lekarskiej rodziny. Egzamininy wstępne zdał bez trudu. Był wszechstronnie uzdolniony, gdy kupiłem mu pierwszy komputer, poświęcił się mu bez reszty. Niestety, zaczęło to rzutować na jego studia. Nie pomagały „lekarskie” rozmowy z mamą i dziadkami, od tej nowej fascynacji nie odwiódł go nawet wyjazd na praktykę studencką do Stanów Zjednoczonych. Zrezygnował tam z pracy w szpitalu i wrócił z pakietem trudno dostępnych w kraju programów graficznych. Tuż po skończeniu medycyny, ku zaskoczeniu



wszystkich, razem z równie niedoświadczonym w biznesie kolegą, zwanym „Wacą”, założył prywatną spółkę projektowania graficznego.

Było to niemal w tym samym okresie, kiedy i ja otwierałem firmę Diagnostykę Maszyn i sam mogłem się przekonać, jak trudne w kapitalizmie są to przedsięwzięcia. Już na starcie przeinwestowali, a kiedy współwłaściciel wyjechał za granicę Paweł wpadł w tarapaty. W domu pojawił się komornik. Mojej zaferowanej wówczas pomocy nie odrzucił, ale ona wyraźnie go deprymowała. Dzielnie próbował walczyć na rynku graficznym, ale nasze kontakty oziębły. Nie pomogły organizowane przeze mnie wyjazdy na narty, do Moskwy, Wiednia, Kijowa, Londynu. Nie zbliżyły nas loty szybowcowe i żeglowanie na katamaranie. Nie udało się nam eskapada na wspólną wódkę. Paweł stawał się coraz bardziej zamknięty, omijał tradycyjnie celebrowane w naszej rodzinie święta, z premedytacją bojkotował organizowane przeze mnie spotkania. Miał do mnie jakąś zadrę, pewnie dlatego zmienił nawet rodowe nazwisko, czego do dziś niestety nie potrafię zrozumieć. Może w dążeniu do zamierzonych celów brakło mu dostatecznego samozaparcia, może nie trafił na właściwych współtowarzyszy. Nie potrafił też w roztrząsaniu swych egzystencjalnych problemów upraszczać swego życia. A ja, tak jak słoń w składzie porcelany próbowałem interweniować, zwykle bez skutku. Jakże mnie wkurzało, że pewny swoich racji, musiałem się wycofywać i wbrew sobie milczeć. Dobrze, że nie różniły nas poglądy polityczne. I dobrze, że przez cały czas kontakty z nim utrzymywała Mama, ale ona nigdy nie ingerowała w nasze trudne rozmowy.

Sytuacja zaczęła się zmieniać, kiedy w jego życiu pojawiła się Agnieszka. Wydawało mi się, że jest zbyt ostra, ale szybko się przekonałem – taka właśnie dziewczyna była mu potrzebna. Dość długo czekali na potomka. W przyjściu na świat syna Kacpra „pomógł” doktor Maciek Boćkowski, kolega Pawła ze studiów, syna mojego przyjaciela Janusza. Maciek to aktualnie wyróżniający się ginekolog na Wybrzeżu, za jego poradą Agnieszka rzuciła pracę w Warszawie, uwiła rodzinne gniazdo w Gdańsku przy ulicy Przytulnej i... natychmiast zaszła w ciążę. Odetchnąłem z ulgą, gdy urodził się wnuczek. Wkrótce młodzi się pobrali, a potem zaskoczyli wspianiałym weselem. Teraz często nas odwiedzają.

Paweł stale utrzymywał jednak do mnie dystans, gdy nagle dostałam sms-a: „Cześć Tato! Przeczytałem twoją książkę. Fajna! Najbardziej mi szkoda, że nie znam faceta, który ją napisał. Tak wyszło. Mógłbym mieć żal, ale nie mam. Przecież wiele rzeczy między nami mogło być prostsze,

pozdrowienia”. Zdębiałem. Minęło pięć lat od napisania moich „Fidrygałek”. W kontaktach z synem byłem ostrożny. Zamiast się ucieszyć, zacząłem się martwić. Czy przypadkiem znów nie wpadł w jakieś finansowe kłopoty? Po chwili zastanowienia odpisałem: „Zaskoczyłeś mnie, dziękuję za uznanie. Czekałem na te słowa długo, ale lepiej usłyszeć je późno niż wcale. Możesz zawsze na mnie liczyć”. Zripostował szybko: „Dzięki Tato. Nigdy bym nie przypuszczał, że może będzie mi ciebie brakować. Twoje słowa otuchy są dla mnie bezcenne”.

Wkrótce zadzwonił i przyjechał na Krętą. Poszliśmy na spacer na pobliską Górę Szubieniczną. Rozmowa się nie kleiła, pogwizdywałem. Paweł, śmiejąc się, zaczął robić wspólne zdjęcia. W jego oczach widziałem zmianę, zastanawiałem się, co dalej? Zaproponowałem wyjazd z jego rodziną w góry na narty.

Na drugi dzień znów się odezwał: „Problemy świata biorą się z tego, że ludzie ze sobą nie rozmawiają, nie wiadomo kto ma zacząć pierwszy. Ty nie jesteś w tym mistrzem, niestety ja także nie. Jak rozmawiamy, nie musisz się już Tato denerwować, wiem, że się denerwujesz to gwizdziesz... Tyle cię znam. Teraz powinieneś kontynuować pisanie twoich «Fidrygałków»”. A potem bez większego sensu przychodziły do mnie kolejne sms-y: „Wystarczy mi co do mnie powiedziałeś, reszta jest mało ważna”, „Dziękuję, że rysujesz z synkiem... i za marynowane rydze”, „Żona ma dla ciebie spodnie”, „Rozmowa czyni cuda, wymaga wysiłku, na końcu pozostaje nadzieja”. Odpowiedziałem krótko: „Kocham cię głupku!!!”. Jego odpowiedź też była krótka:

„Ja ciebie też, ty palancie bosy!!!”

Zaczęliśmy rozmawiać. Dzięki koronawirusowej kwarantannie mamy więcej czasu dla siebie. Zaprosiłem go na wyjazd do warsztatu elbląskiego Posteoru i do Elektrowni w Dolnej Odrze. Zrobił tam fotografie moich turbinowych pierścionków. Zaproponowałem mu, teraz ty zacznij gwizdać, to może przestaniesz palić papierosy. Na razie nie odpowiedział, zamiast tego odczytałem w komórce: „Lepiej z Kacprem pierogi, pisz dalej swe «Fidrygałki», dobrej nocy tato, Paweł”.

Jestem pewny, że mój syn będzie miał dobre relacje ze swoim synem. Powinno mu być łatwiej, bo gadatliwy wnuk od zarania jest otwarty na otoczenie i ludzi. Jak mówią, cały dziadek...



Sztafeta pokoleń: Andrzej i Piotr, Paweł i Andrzej, Kacper i Paweł

---

## Ukochana teściowa

Spotyka się dwóch znajomych w knajpie, jeden z rozmarzonym głosem mówi: moja teściowa to anioł. Na co drugi ripostuje: moja niestety jeszcze żyje. Ten dowcip już dawno przeszedł do legendy, ale ja moją teściową, chociaż nie była aniołem i już nie żyje, bardzo dobrze pamiętam i zaliczam do osób mi najbliższych.

Klementyna Świcowa była nie tylko matką mojej żony, ale także jedną z najwybitniejszych gdańskich pediatrów. Do legendy przeszła jej wspaniała intuicja diagnostyczna oraz umiejętność badania dzieci. Na pewno wiele z nich uratowała od niechybnej śmierci. Miała niezwykłą osobowość i charyzmę. Kochali ją wszyscy ci, których leczyła ci, których uczyła, a także ci, z którymi zetknęła się choć przez chwilę. Miałem szczęście, poznałem ją w dzieciństwie, lekarskie rodziny Gardzilewiczów i Świców były zaprzyjaźnione od przyjazdu do Gdańska, zaraz po wojnie.

Gdy zatem Danuta Kobzdej, pomysłodawczyni projektu „Niezapomniani”, upamiętniającego osoby ważne dla Gdańska, zwróciła się do mnie o materiały dotyczące profesor Świcowej, sam napisałem jej biografię i dostarczyłem fotografie. Przy pisaniu wykorzystałem pomoc żony oraz fachową korektę pani profesor Jolanty Wierzby, którą onegdaj Świcowa przyjmowała do pracy w klinice dziecięcej. Ten tekst prezentowany także w skrócie na cmentarnych tablicach na Srebrzysku, przedstawiam poniżej w oryginalnej wersji:

*Klementyna Świcowa urodziła się 15 września 1914 roku w Samborze (dawne woj. lwowskie). Ojcem był nauczyciel Tadeusz Amirowicz, z pochodzenia Ormianin, matką zaś Karolina z domu Rak, primo voto Vogelgesang. Do szkoły uczęszczała w Samborze, a po maturze, którą zdała z wyróżnieniem w 1933 roku wybrała się na studia medyczne. Rozpoczęła je na Uniwersytecie w Poznaniu, gdzie wówczas nie było limitu przyjęć kobiet. Potem przeniosiła się jednak na Uniwersytet im. Jana Kazimierza we Lwowie, który ukończyła w 1939 roku.*

*Karierę zawodową rozpoczęła tuż przed wojną na oddziale gruźliczym w Szpitalu św. Jana Bożego w Lublinie. Tu poznała przyszłego męża, chirurga Stanisława Świcę. Pracowała na oddziale dziecięcym i natychmiast zaangażowała się w akcję ratowania niemowląt, które rodziły kobiety skazane na śmierć w pobliskim obozie koncentracyjnym na Majdanku. Po ślubie*



Teściowa, jaką  
pamiętam...

---

*przeniosła się do Krasnegostawu, gdzie została zatrudniona w miejskim szpitalu. Tam też w czasie okupacji z narażeniem życia razem z mężem udzielała pomocy rannym partyzantom tamtejszego okręgu Armii Krajowej. Długo oczekiwane wyzwolenie nie było dla niej radosne. Po wkroczeniu do miasta Armii Czerwonej aresztowano jej męża - akowca. Jak podano w akcie oskarżenia, zatrzymano go za działalność przeciwko władzy ludowej. Nie bała się wówczas ostro interweniować u rosyjskiego komendanta. Zszokowanemu oficerowi zagroziła, że jeśli nie uwolni z więzienia lekarza, który w czasie wojny uratował życie wielu Polaków, to napisze skargę do matki. O dziwo, groźba okazała się skuteczna.*

*Ten incydent, a także poczucie bezpośredniego zagrożenia na terenie lubelskim były powodem, dla którego Świcowie w 1947 roku przenieśli się do Gdańska. Zastali miasto doszczętnie zniszczone przez pożogę wojenną, które z wielkim wysiłkiem dopiero zaczęto odbudowywać. Przyjęto ich wtedy do nowo utworzonej Akademii Lekarskiej, przekształconej wkrótce w Akademię Medyczną. Początkowo zamieszkali na zapleczu Dworu Uphagena, który stanowił część szpitala przy ulicy Łąkowej. Tam w Klinice Chirurgicznej zaczął pracować jej mąż. Natomiast doktor Świcowa znalazła zatrudnienie w Klinice Dziecięcej we Wrzeszczu, a do pracy przyjmował ją światowej sławy profesor Henryk Brockman. Pod jego kierunkiem*

*prowadziła wtedy prace dotyczące zwalczania dziecięcych chorób zakaźnych. Nie było to łatwe, brakowało wszystkiego, nie tylko leków, ale także wody i mydła. Były to także czasy wprowadzenia szczepionek i zwycięskiej walki z dyfterytem, kokluszem, ospą, odrą, gruźlicą. Szczególne zasługi miała w wyznaczaniu standardów terapeutycznych przy zaburzeniach metabolicznych w przebiegu biegunek u dzieci, które były powodem dużej śmiertelności. Dzięki badaniom nad zakażeniami przewodu pokarmowego wywołanymi pałeczkami z grupy Salmonelli, Shigela i E.coli udało się jej uratować wielu małych pacjentów.*

*Kiedy w latach pięćdziesiątych w Polsce wybuchła epidemia choroby Heinego-Medina, głównym obszarem jej naukowych eksploracji stała się walka z wirusem polio, odpowiedzialnym za te najczęściej śmiertelne zakażenia. Z wielką radością odbierała w Gdańsku dostawy szczepionki. Efekty badań zaprezentowała w 1961 roku w doktoracie pt. „Postać mózgowia choroby Heinego i Medina”. Promotorem pracy był profesor Kazimierz Ereciński, a jednym z recenzentów jej pierwszy nauczyciel profesor Henryk Brockman, którego do końca życia uważała za swojego mistrza. Wkrótce potem doktor Świcowa została ordynatorem oddziału dziecięcego Kliniki Chorób Zakaźnych. Razem ze swoimi asystentami porządkowała wówczas przyznane jej lokale w odremontowanym baraku. Z pasją leczyła młodych pacjentów, a lekarzy i studentów uczyła, jak ich badać. Sama też uzupełniała swą wiedzę z biochemii, genetyki i kontynuowała rozpoczęte wcześniej prace naukowe, które dotyczyły przede wszystkim badań nad nietolerancjami pokarmowymi w ciężkich zakażeniach. Mimo nawału zajęć udało się jej w 1968 roku ukończyć rozprawę habilitacyjną pt. „Aktywność aminotransferazy asparaginianowej i alaninowej w płynie mózgowo rdzeniowym w przebiegu chorób ośrodku układu nerwowego”. Zaraz po obronie objęła kierownictwo Kliniki Chorób Dzieci. W jej karierze naukowej był to okres najbardziej intensywny. Gdy po przełomie 1970 roku otworzyły się możliwości kontaktów z Zachodem, zaczęła wprowadzać w leczeniu nowoczesne procedury. Dotyczyły one przede wszystkim chorób nowotworowych, na które chorowało coraz więcej dzieci.*

*W 1977 roku otrzymała w Belwederze nominację profesorską i została mianowana wtedy dyrektorem Instytutu Pediatrii. Dalej szkoliła i wychowywała swych następców, ale najczęściej można ją było spotkać przy dziecięcym łóżeczku. To były dziesiątki tysięcy małych pacjentów, których często ratowała od śmierci. Jako nauczyciel akademicki przygotowała do zawodu z górą pięć*

tysięcy studentów. Była kierownikiem specjalizacji co najmniej pięćdziesięciu lekarzy pediatrów, promotorem kilkunastu doktoratów i opiekunem kilku habilitacji. I chociaż nie zdobyła wielkiej sławy międzynarodowej, to w gdańskiej Akademii udało się jej stworzyć, niepowtarzalną szkołę pediatrii. Na zasłużoną emeryturę przeszła w 1984 roku, ale później często odwiedzała następców, ciesząc się razem z nimi z sukcesów, jakie otworzyły się w Polsce po 1989 roku.

Profesor Świcowa pięknie zapisała się również w działalności na niwie społecznej. Była członkiem Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego, któremu w oddziale gdańskim przewodniczyła długie lata. W okresie odwilży lat 70.,

jako osoba bezpartyjna została wybrana do Wojewódzkiej Rady Narodowej Pomorza Gdańskiego. Radną była przez dwie kadencje, skutecznie zabiegając o fundusze dla służby zdrowia, a przede wszystkim dla chorych dzieci, swych małych pacjentów.

Wspominamy ją, bo Pani Profesor była przy tym dobrym, życzliwym i nader skromnym człowiekiem. Miała dość nieszablonowy zwyczaj – przekraczając próg mieszkania chorych maluchów, mówiła z miłym uśmiechem: „Pokój temu domowi” i o dziwo pokój tam przychodził razem z nią. Mówiła często do rodziców, że każdy dom powinien mieć własny niepowtarzalny zapach przygotowywanych potraw, bo dopiero wtedy staje się domem żyjącym, przyjaznym dla już niegłodujących dzieci, których pamiętała z czasów wojny.

W najbliższej rodzinie zwana była „Muszką”. Była matką okulistki Hani i internisty Piotra. Doczekała się też trójki udanych wnucząt: Pawła, Ani i Rafała. Kochała Polskę, lubiła wyjeżdżać na krajowe wycieczki, a zwłaszcza w Tatry. Wakacje najchętniej spędzała w domku na Kaszubach nad jeziorem Mausz, w gronie najbliższej rodziny. To właśnie tam w sierpniu 1993 roku zmarła. Na gdańskim Cmentarzu Srebrzysko żegnały ją tłumy. W Dzień Wszystkich Świętych przy pomniku zawsze pali się wiele zniczy, które składają jej uczniowie, a także już dorośli jej pacjenci.



Z Pawetkiem



Z córką Hanią – moją żoną, nad jeziorem Mausz

---

Mnie z teściową łączyły wyjątkowe relacje, których nie da się zapomnieć. Spędzaliśmy wiele czasu na twórczych rozmowach, bywało też, że konsultowałem prowadzone przez nią prace naukowe, oczywiście od strony fizyki. Szybko dostrzegła i doceniła moje umiejętności i talenty. To dzięki niej powróciłem do pisania po latach pracy habilitacyjnej. Niestety, mego profesorskiego awansu teściowa nie doczekała, dlatego w 2005 roku, zaraz po profesorskiej nominacji, udałem się na jej grób...



## Mehr Licht

Moja wychowawczyni z VI Liceum na Siennickiej – Jadwiga Andrzejewska była młodą, bardzo ambitną nauczycielką. Skończyła polonistykę w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Gdańsku i razem z nami w 1952 roku rozpoczynała swoją karierę. W trudnych powojennych latach dyktatury proletariatu próbowała nasze zainteresowania skierować na literaturę romantyzmu. Pełne niepokoju, ostre w wymowie dzieła Mickiewicza, Słowackiego, Norwida nie kłóciły się przecież z wszechogarniającą bolszewicką propagandą. Wyganiała nas na wykłady do gdańskiej Biblioteki PAN, gdzie – jak do dziś pamiętam – wysłuchałem wspaniałej oracji o poezji Mickiewicza, którą wygłosił Kazimierz Wyka, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Z Andżoliną, bo tak ją przezywaliśmy, chodziliśmy też do teatru, na „Balladynę” pojechaliśmy do Narodowego do Warszawy. Nie zdziwiłem się przeto, kiedy wyznaczyła mnie do przygotowania referatu, który dotyczył Johanna Wolfganga von Goethego, największego romantyka niemieckiego. To było nieco złośliwe z jej strony, bo przecież Internetu nie było, a książki o tym wielkim człowieku w języku niemieckim widziałem jedynie na półkach u kolegów – autochtonów z podstawówki. O swym zadaniu poinformowałem mieszkającego z nami wujka Kazia, brata mamy – nauczyciela popularnej wówczas Szkoły Zegarmistrzowskiej w Brzeźnie. Wuj natychmiast zaszprechał „Mehr Licht!” i z powagą oznajmił mi, że biografię poety znajdę w Encyklopedii Gutenberga. Trzymał ją starannie poukładaną w swoim pokoju. Dostałem tom piąty od „Eu” do „Gr”. Zajrzałem do środka. O Goethem napisano siedem szpalt drobnym maczkiem! Tekst był wyjątkowo trudny. Poszedłem na łatwiznę, przepisując całe frazy bez zmian. Główną uwagę zwróciłem na jego liczne przygody miłosne, na uczuciową powieść „Die Leiden des jungen Werthers” („Cierpienia młodego Wertera”), czy przetłumaczoną przez Mickiewicza pieśń liryczną „Kennst du das Land” („Znasz-li ten kraj”). Wygłaszając referat, ubawiłem kolegów, ale w oczach Andżoliny widziałem niezadowolenie. Udobruchało ją dopiero zaprezentowane przeze mnie z patosem zakończenie. Napisałem w nim, że Goethe tuż przed śmiercią wyszeptał słynne później słowa „Mehr Licht!”. Wykrzyczałem zatem na finał:

- Więcej Światła dla ludzi, dla wzburzonego wojnami świata!

Piątki mi cholera nie postawiła.

Goethe nie został mym ulubionym pisarzem. Do jego poezji nie przekała mnie nawet wizyta w weimarskim muzeum, podczas niemieckiego



Johann Wolfgang Goethe – rycina  
z encyklopedi Gutenberga

---

tournée z reprezentacją Polski w piłce ręcznej. Ale przepiękną pieśń „Znasz-li ten kraj”, w równie pięknej kompozycji Stanisława Moniuszki, włączyłem na stałe do swego koncertowego repertuaru.

Ostatnio miałem wizytę u okulisty doktora Maćka Gawęckiego, młodszego kolegi mojej żony. W świetnie wyposażonym gabinecie przed badaniami przeprowadził ze mną krótki wywiad. Na pytanie: czy panu coś dolega, odpowiedziałem, że noszę okulary czwórki, a mimo to coraz bardziej brakuje mi przy czytaniu światła.

– Zaćma! – zawołał.

Specjalistyczne badania potwierdziły tę diagnozę. Jestem już umówiony z nim na operację. Gdy wróciłem do domu,

przypomniałem sobie wypowiedziane przez Goethego tuż przed śmiercią słowa: „MehrLicht!”. Miał wówczas ponad osiemdziesiąt jeden lat. On operacji nie doczekał.

## Trochę dziegciu w krajowej fotowoltaice

Wielu moich przyjaciół i znajomych zwraca się do mnie z pytaniem, czy już opłaca się zakładać przydomową elektrownię fotowoltaiczną. Przynoszą piękne foldery, które podają, że dostęp do słońca jest nieograniczony i darmowy, a koszty inwestycyjne zwracają się już po sześciu latach. Okazuje się jednak, że bezstronna ocena opłacalności nie jest taka prosta. W fotowoltaice skupiają się bowiem jak w soczewce wszystkie przekłamania dotyczące zalet i wad odnawialnych źródeł energii.

Zaglądam do folderu. Wydatki na instalacje w przeliczeniu na 1 kW mocy nie przekraczają 5000 zł. Są już nieznacznie niższe od kosztów inwestycyjnych nowej elektrowni węglowej w Kozienicach, a w najbliższej przyszłości mają być jeszcze obniżone. To pierwsze przekłamanie, o opłacalności przedsięwzięcia decydują bowiem nie tyle inwestycje, co jednostkowe koszty energii elektrycznej. Dla producentów małej fotowoltaiki, którzy wytwarzają energię na własny użytek, ustalono je na poziomie 50 gr/kWh, a przecież według rachunków za prąd elektryczny płacimy w detalu 65 gr. U inwestorów fotowoltaiki rodzi się przekonanie, że to oni na tym tracą, że to oni dopłacają państwu. Tymczasem w Polsce uśrednione ceny prądu w sprzedaży hurtowej są znacznie niższe i kształtują się na poziomie 30gr/kWh. A zauważyć przy tym trzeba, że bezpośrednio u producentów koszty są jeszcze niższe, dla przykładu do niedawna notowane w Bełchatowie wynosiły 15 gr/kWh, tylko nieco więcej płacono na Śląsku, za te z węgla kamiennego. Widać zatem, że fotowoltaika nie dopłaca, tylko zyskuje spore beneficje. Co ciekawe nie zachęcały one indywidualnych inwestorów do zakładania instalacji. Sytuacja na rynku się zmieniła, gdy subwencje do słonecznych kilowatogodzin rozszerzono dodatkowo na inwestycje. Początkowo zwracano je w 50%, teraz można pozyskać dotację w wysokości 3000 zł, a do tego zwykle dochodzą korzystne kredyty bankowe.

W rzeczywistości zyski u producentów fotowoltaiki są jeszcze większe, gdy do wymienionych dopłat doliczy się nie tylko ukryte w rachunkach za energię koszty przesyłu i podatków, ale także konieczne inwestycje modernizacji sieci elektrycznych. Wynikają one z faktu, że panele fotowoltaiczne z natury rzeczy mają do sieci zaledwie 10% dostęp, a energii elektrycznej w kontaktach nie może zabraknąć ani przez chwilę. Póki produkcja energii słonecznej w krajowym bilansie jest kilkuprocentowa, te wydatki są pomijalne, a braki na bieżąco uzupełniają istniejące elektrownie. Kiedy

produkcja fotowoltaiczna wzrosnąć trzeba będzie w sieci instalować dodatkowe urządzenia i zabezpieczenia, za co przyjdzie słono płacić. W krajach europejskich gdzie pracuje większa ilość paneli te opłaty włącza się już do rachunków, a dotyczą one równie niestabilnej produkcji energii z wiatru. To zresztą jest główną przyczyną, że Niemiec w detalu płaci za kilowatogodzinę 1,30 zł, a Duńczyk nawet 1,50 zł.

Te wysokie ceny trudno przekładać na polskie warunki, ze względu na istotne różnice w stosowanych taryfach i wyróżnikach, ale w najbliższej przyszłości i my będziemy musieli się liczyć z podwyżką. Nie zdziwiłem się przeto, jak w moim rachunku za prąd, który od lat płacę w Energa S.A., dodano ostatnio w tabeli rubrykę – opłaty OZE. Na razie stawki są zerowe, ale to się wkrótce może zmienić, gdyż Unia Europejska przyszłe podwyżki zaczęła dodatkowo wiązać z karami za emisję dwutlenku węgla. Jak się okazuje, to jest najprostsza metoda eliminacji z rynku tanich, ale brudnych



Elektrownia słoneczna w Sulminie  
fot. Tadeusz Borkowski

paliw kopalnych. Na początku płacono 10 euro za emisję tony dwutlenku węgla, ale teraz ceny wzrosły pięciokrotnie. To dużo, ale te pieniądze będą zwracane Polsce na rozwój odnawialnej energii. Zwraca uwagę, że dopiero kary na poziomie 100 euro zapewnią fotowoltaice opłacalność. O tych problemach, a także o programie europejskiego Zielonego Ładu 2050 piszę szerzej w suplemencie załączonym na końcu Fidrygałek. Zainteresowanych zachęcam do uważnego przeczytania.

p.s. Córce Ani i jej mężowi Bartkowi Borkowskiemu, mieszkającym w Sulminie pod Gdańskiem, fotowoltaikę zarekomendowałem już dość dawno. Pozyskany w ten sposób czysty prąd elektryczny wykorzystują też z powodzeniem do ogrzewania domu. Już dziś wypełniają ostre przepisy ekologiczne UE. W pełni korzystają z przysługujących dopłat, które, póki co fundują im pozostali podatnicy.

## *Zemsta, zemsta, zemsta na wroga...*

Gdy z górą dziesięć lat temu zabrałem się za pisanie swoich „Gardzielowych fidrygałek”, jeszcze przed ich wydaniem, pytałem bardziej doświadczonych autorów o radę i uwagi. Andrzej Drzycimski ostrzegł mnie wtedy, by ostrożnie pisać o bieżących wydarzeniach, co w szczególności dotyczyć miało polityki. Przyjąłem tę uwagę ze zrozumieniem. Mogą to poświadczyć moi liczni czytelnicy, chociaż teksty wyraźnie pokazują, skąd przyszedłem, kim jestem i dokąd zmierzam.

Dobijam już do swego kresu, zatem w drugiej części „Fidrygałek” tę regułę postanowiłem naruszyć. Głównym tego powodem jest fakt zerwania przez obecny rząd społecznego dialogu i powrót w polityce do kłótni i wyniszczającego kraj podziału. Nie mogę się zgodzić, by podziwiane przez cały świat porozumienie Okrągłego Stołu, które było otwarciem na demokrację i początkiem naszych sukcesów, odeszło w niepamięć. Nie akceptuję dyskryminacji tej czy innej grupy dla realizacji autorytarnych ideologii łamiących ustalone w konstytucji prawa, czynionych przy naruszaniu żelaznych zasad trójpodziału władzy. Przecież dopiero nie tak dawno udało się nam wyrwać z komunistycznego systemu „dyktatury proletariatu”, zwanej też szumnie demokracją ludową, stanowiącej prymat jednej partii, która zagarnęła całą władzę i to bez żadnej odpowiedzialności.

Wywalczona demokracja na zachodnią modłę i podążająca za nią wolność, nie jest – jak się okazuje – dana nam raz na zawsze. Trzeba jej pilnować, do czego potrzebne są rozmowy, a nie swary. Szczególnie trudne jest zachowanie równowagi w dziedzinie gospodarki, gdyż sprawniejszy kapitalizm z natury rzeczy nie gwarantuje równego dostępu do dóbr. To w przeszłości było przyczyną krwawych rewolucji i wojen, zwłaszcza gdy brakło chleba. Okazuje się, że spokój na świecie można zburzyć też w okresie stabilności i prosperity. Pojawiają się przywódcy, którzy znów rzucają złudne, populistyczne obietnice, a co ciekawe zarówno z lewej, jak i z prawej strony. Na razie szukają głosów w wolnych demokratycznych wyborach. Przecież Hitler też je znalazł, a w Rosji przed krwawą rewolucją październikową też zaczynano od rozmów w trakcie lutowego przewrotu.

Mam zamknięte oczy. Widzę tłumy na wiecu, słyszę głos prezesa:

– Wygraliśmy wybory, dokończymy reformy dla dobra suwerena! Zapewni to nam jedna partia, jeden rząd, jedyne słuszne środki przekazu,

ujednolicona i dostępna dla wszystkich kultura, posłuszni nauczyciele, sądy, policja. Upaństwowimy banki, fabryki, elektrownie, lasy, pola.

Ludzie wiwatują i klaszczą. Gra orkiestra. Maszeruje wojsko.

– Niepotrzebna nam totalna opozycja, wkrótce powołamy Front Jedności Narodowej. Uszczelnimy VAT-y, PIT-y, ZUS, granice. Rozliczymy wszystkich złodziei, spekulantów. Każdemu Polakowi zapewnimy mieszkanie i talon na elektryczne auto. Kiedyś hordy bolszewików, które szły na zdemoralizowaną Europę, zatrzymał w Warszawie Piłsudski. Przemysleliśmy wszystko dokładnie i teraz tę Europę wyzwolimy sami, także z ideologii gender, bezceństw LGBT, aborcji, eutanazji. Z Bogiem, a jak nie to mimo Boga. W oddali przez gęstą mgłę dostrzegam wrak Tupolewa przywieziony ze Smoleńska. Teraz stanie w Narodowym Mauzoleum. Najwybitniejsi uczeni na świecie potwierdzili dwa wybuchy. Katastrofa to wszystko wina Tuska, będzie siedział...

Zbudziłem się spocony. Na szczęście to był tylko sen. Ale czy tylko?

Właśnie wróciłem z elektrowni. Ciągle jeszcze jest tam wielu kompetentnych ludzi, szykują się do koniecznych modernizacji. To moja domena, chciałem w tym pomóc, ale zmienił się kolejny już prezes i nic nie załatwiłem. Nie miał czasu. Posadę dostał nie z konkursu, a z klucza partyjnego. Skończył przyspieszone studia, przygotowywał się właśnie do egzaminów MBA z zarządzania, ale chyba swoim biznesem... Specjalizacja energetyczna nie ma teraz znaczenia. Dla nowej władzy ważne są pieniądze, czyli dywidendy, których trzeba pilnować. Miałem wrażenie, że to postać – wypisz wymaluj – z mojego snu, która najgłośniej klaskała tam na wiecu.

Otworzyłem TVP. Słyszę, że jest dobrze, nawet bardzo dobrze. Zginęły zachodni kapitalizm umiera, umiera stara Europa. Trzeba wszystko scentralizować pod jednym, światłym kierownictwem, wprowadzić nowe modele zarządzania: gospodarki, edukacji, służby zdrowia, nauki i kultury. Nie będą Niemcy i Francuzi mieszać w naszych prawach, naruszać nasze prawa i sprawiedliwość. Wcześniej czy później wprowadzimy nowe porządki w Unii Europejskiej. Jak będzie trzeba zaczniemy wetować, wszystko jak idzie. Czy dołączy znajdujący się w kryzysie polski kościół? Bezbożników tych na Zachodzie przecież trzeba nawracać.

Czy nasz mały wódz sobie poradzi? Wielu wierzy. Ja nie. A swój kraj i rodaków kocham za poszanowanie wolności i dlatego, że nigdy w historii nie udały się tu próby stworzenia rządów dyktatorskich. Tak samo, jak nie wierzę, że uda się stworzyć sprawną, znacjonalizowaną, centralnie zarządzaną

gospodarkę. Nie pomogą nam oligarchowie, kolejne „orbany” i „obajtki”. Odwoływanie się do Chin uważam za manewr zwodniczy. Ostatnio byłem tam dwukrotnie, dużo widziałem. Rozmawiałem sam na sam ze znajomym profesorem, który mieszkał w wielopiętrowym wieżowcu. Na dole wylegi-tymował mnie dyżurny cieć. W swojej kwaterze, nim zaczął się zwierzać, profesor dyskretnie podgłośnił radio.

– Tak będzie bezpiecznie – powiedział.

Boże chroń nas przed takim systemem i broń, aby ta inwigilacja, ten „szczęśliwy ustrój” znów do nas nie zawitał.

Trzeba wrócić do korzeni demokracji. Nie ludowej, nie suwerena, ale tej zwykłej, równej dla wszystkich. I pamiętać trzeba, że nie ma wolności bez solidarności – nie związkowej, nie partyjnej, lecz tej najbardziej oczywistej – ludzkiej, którą należy znów odbudować w dialogu, bez buty i kłamstwa. Nie można w imię ideologii nienawiści łamać podstawowych praw człowieka, eliminować słabszych, wykluczać elity, zrywać kontakty ze światem. Niezależne sądy muszą pilnować uchwalonej konstytucji – i to obojętnie, kto będzie rządził. Trzeba zgodnie z przekazem Wieszcza wstrzymać chocholi taniec, by nas nie zniszczyła:

*Zemsta, zemsta, zemsta na wroga,  
z Bogiem i choćby mimo Boga!  
(DZIADY, CZĘŚĆ III)*

Czy pomoże nam koronawirus? Niektórzy już widzieli światełko w tunelu, wydawało się, że władza wychodzi nam naprzeciw, zniesiono wprowadzo-  
ne ostre restrykcje. Mogłem wejść do lasu! Ściągnąłem maskę, kichnąłem i mogłem wreszcie się wysmarkać! Poczułem się wolny.

Nie na długo. Jak tylko udało się powtórnie przeczłogać na stanowisko prezydenta Andrzeja Dudę, znów wróciła nienawiść. To jest paranoja, kiedy gospodarka staje się coraz bardziej niewydolna, wokół szaleje Covid-19, a przywódcy rządzącej partii w kłótniach walczą o stołki. Prezes, mistrz prowokacji, niebacznie naruszył z trudem wypracowaną ustawę aborcyjną. Wzburzył kobiety, które stanęły solidarnie w wielkim proteście.

– Wyp...j! – skandują na ulicach tłumy młodych ludzi.

Albo łagodniej, cytując znów Mickiewicza:

– A kysz, a kysz!





Czy możliwe jest pojednanie? Był Jan Paweł II, był także Wałęsa, im się udało. Na razie polskiej „Lizystraty” nie widać, co gorsza nie widać, kto w narodowym dialogu mógłby być rozjemcą... Jestem niepoprawnym optymistą, nie poddaję się, nie przestałem wierzyć w siłę dialogu, w demokrację i mądrość Rodaków. Przecież w końcu musimy się dogadać.

## Bez komentarza

Po wielu trudach udało się znaleźć kontrahentów na kupno udziałów prowadzonej przeze mnie spółki Diagnostyka Maszyn. Siedzę zadowolony z kolegami przy herbatce i nagle zaczynam liczyć.

- Jeden, dwa, trzy...
- Gardziel, co ty rachujesz, ile dostałeś? Ktoś indaguje.
- Dwanaście, trzynaście, czternaście...
- Oszukali cię? Słyszę.
- Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa...
- Tyle dostałeś? Dobra cena?
- Trzydzieści sześć, trzydzieści siedem, trzydzieści osiem.

Na tym kończę i wyjaśniam moim współtowarzyszom:

- Trzydzieści osiem – tyle niezwykle korzystnych dla siebie transakcji w ciągu piętnastu lat przeprowadził jeden facet, pełniąc odpowiedzialne funkcje w prywatnym biznesie wuja, w administracji samorządowej i wielkich państwowych przedsiębiorstwach. Rezydencja w Łęczkovicach, okazały dom w Lanckoronie, pałacyk w Borkówku, pensjonat w Kopalinie, dworek w Sasinie, restauracja w Choczewie, apartament z ogrodem zimowym na warszawskim Bemowie, mieszkanie w Myślenicach, działki i nieruchomości w Łebie, Stróżach, Piwnicznej-Zdroju i na Mazurach.

- To dziesiątki miejsc pracy – rzuca ktoś mimochodem.

- Nie dziesiątki, a kilka setek – odpowiadam. – Przecież pracując w Państwowej Agencji Rolnej, Enerdze, Orlenie podejmował niezwykle trudne dla państwa decyzje, unieważniając złodziejskie umowy, rozbijając układy, zwalniając nieudaczników, a na ich miejsce wprowadzając najuczciwszych fachowców prawych i sprawiedliwych. Jak trzeba było połączyć Orlen z Lotosem, o co starali się inni latami, zrobił to natychmiast i dodał do tego jeszcze PGNiG-ie i Energeę. Nie widzi on trudności w czekającej nas transformacji energetycznej, jak będzie trzeba zrealizujemy ją nie w trzydzieści, a w dziesięć lat. Musimy nie tylko dogonić, ale także wyprzedzić przyszłość. Wyrzucił z Polski niemiecką propagandę, która zatruwała nasze dusze. W międzyczasie nie tylko skończył zaocznie Wyższą Szkołę Techniczną w Radomiu, ale i studia podyplomowe MBA. Szkoli nowe kadry potrzebne dla sprawnego, nowoczesnego zarządzania. Sponsoruje Kościół, kulturę, sport, naukę, służbę zdrowia i niepełnosprawnych.

Ten geniusz to Daniel Obajtek. Jak mówi Prezes prezesów: to człowiek, który ma dar boży i boską aurę. Jest dla Polski przyszłością. O jego czynach będą pisały wkrótce gazety, które właśnie już zdążył kupić. Może wkrótce kupi też Radę Ministrów.

Koledzy są skonfundowani. Sami nie byli tak zdolni ani zapobiegliwi, ja również...



Pełne zadowolenie  
w trakcie szczepienia

---

## Szczepcie się

Jak większość ludzi na świecie z utęsknieniem czekałem, kiedy wreszcie pandemia się skończy. Ze swego doświadczenia wierzyłem, że mogą nam w tym pomóc tylko masowe szczepienia. Gdy uzyskałem taką możliwość, zarejestrowałem się na szczepienie w tymczasowym szpitalu przy stadionie Ergo Arena na Letnicy. Niestety rano zasnąłem, biegłem tam mocno spóźniony. Wpadłem do środka jak burza i w pierwszej chwili myślałem, że pomyliłem adresy i trafiłem do Domu Pogodnej Starości. Skonstatowałem szybko, że czekający w środku to moi rówieśnicy, także przyszli się szczepić. Niektórzy z dziećmi, dwadzieścia lat młodszymi, ale tym razem nie oni, ale ich prowadzono za rączkę. Kilku nawet przyjechało tam na wózeczku...

W gabinecie pielęgniarka po sprawdzeniu mego skierowania spytała:  
– Ile pan ma lat?

- Prawie osiemdziesiąt dwa! – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.
- Nigdy bym panu nie dała – rzuciła przyjaźnie.
- Przecież panią o to nie prosiłem – skwitowałem natychmiast ze śmiechem rozpoczętą rozmowę.

Zbadał mnie doktor Sasza, do Gdańska przybył z dalekiego Dniepropietrowska, ale zastrzyk szczepionki Pfizera, dała mi... miła pielęgniarka.

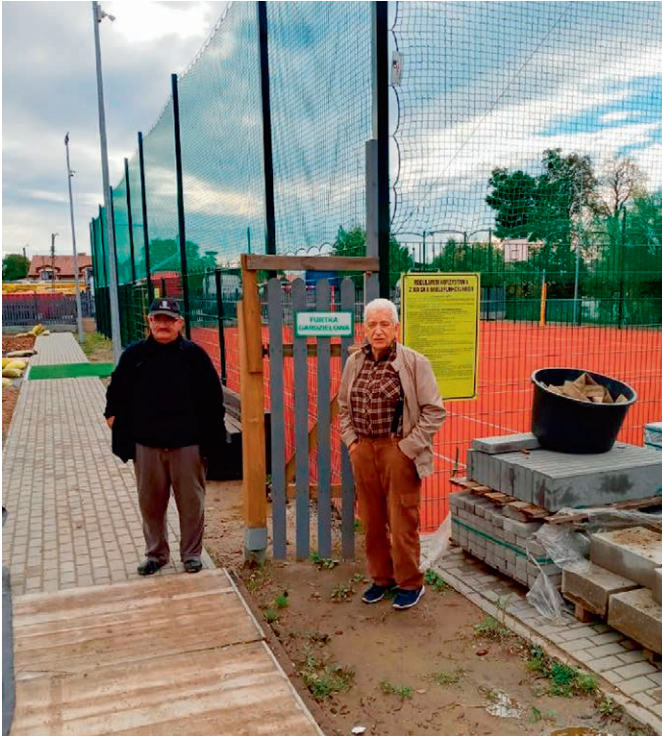
Wróciłem do domu szczęśliwy. Zaprosiłem z tej okazji sąsiadów. Usiedliśmy przy stole do śledzika, wypiliśmy po kielichu czystej. „To nie szkodzi zdrowiu i nie płami duszy” – przypomniłem słowa śp. księdza Eugeniusza Dutkiewicza, naszego niezastąpionego proboszcza z kościoła na Curie-Skłodowskiej. Sielanki na Krętej nie zakłóca już przekłety wirus, wszyscy sąsiedzi poszli moim śladem i są też zaszczepieni.

## Gardzielowa Furtka

W listopadzie 2021 roku w Centrum Solidarności świętowano 100-lecie gdańskiego AZS, które połączono z jubileuszem Akademickiego Związku Sportowego w Polsce. Przy tej okazji dostałem zaproszenie od profesora Janusza Czerwińskiego na zorganizowaną przez niego uroczystą sesję naukową, która odbyła następnego dnia w Akademii Wychowania Fizycznego. Wygłoszono tam wiele ciekawych referatów dotyczących nie tylko historii akademickich klubów sportowych, ale i rozwoju kultury fizycznej i sportu. Nagrodzono wybitnych azetesiaków, medalistów olimpijskich. Mój przyjaciel Janusz Czerwiński, były rektor tej uczelni, miał wielką satysfakcję, bo przecież to w trakcie jego kadencji zdobyto dla gdańskiego AZS-u najwięcej medali, aż 12. Na udekorowanej scenie zaprezentowała się większość z nich, obok złotych Blanika i Korola, wystąpiły też pełne urody znajome mi medalistki z Rzymu i Tokio Jarka Józwiakowska i Krysia Krupa-Malinowska.

Na zakończenie konferencji zgodnie z regułą odbyła się ciekawa dyskusja. Zabrałem w niej głos, zwracając się przede wszystkim do obecnych studentów w auli, który przytaczam poniżej:

*Z zainteresowaniem wysłuchałem prezentowane dziś referaty te szczególne o AZS-ie i te ogólne dotyczące sportu, ale najbardziej zafascynowała mnie informacja podana przez profesora Ronikiera. Otóż na podstawie badana podał, że połowa polskiej społeczności nie ma żadnego kontaktu ze sportem. To była szokująca wiadomość, przecież razem ze swymi rówieśnikami nawet w najtrudniejszych czasach po wojnie, ku uciechu rodziców ganialiśmy za szmacianką wśród gruzu. Do uprawiania sportu nawoływały propagandowe hasła, ale pieniędzy brakowało na wszystko, nie tylko na sport. Nie było wystarczającej ilości boisk, sal sportowych, basenów. Podczas nielicznych wówczas wyjazdów na Zachód z zazdrością patrzyłem na piękne kompleksy sportowe w Skandynawii, Niemczech, pełne trenujących w dobrych warunkach ludzi, i to nie tylko profesjonalistów. Gdy zatem w 1989 roku wywalczyliśmy wolność i nastał czas odnowy, to chociaż na sport stale brakowało środków, w miastach ruszyła budowa stadionów, hal sportowych i pływalni. Imponowała szczególnie akcja budowy tysięcy Orlików, boisk dla młodzieży. Okazało się wkrótce, że Orliki same nie trenują. W ogólnym rozgardiaszu nie zapewniono nawet drobnych pieniędzy dla emerytowanego stróża, który dla amatorów gry*



*w piłkę, tenisa otworzy furtkę, zagrzeje wodę do kąpieli. Praktycznie też nie załatwiono etatów dla sportowych instruktorów. Wydawało się, że ten marazm nie jest tak powszechny, ale po wykładzie profesora zrozumiałem, dlaczego na wielu Orlikach zaczęto zakładać kłódki. To najtańszy, ale równocześnie najgorszy sposób rozwiązania problemu. Dziś przeto zwracam się do obecnych tutaj studentów: otwórzcie te kłódki i zaczynajcie rozpowszechniać sport wśród młodego pokolenia, które przecież trzeba odrzucać od komputera, smartfona, nie porzucajcie swego zawodu, jak zrobiło to wielu waszych poprzedników, o czym usłyszałem tu w kuluarach. Nie narzekajcie, ale walczycie o dodatkowe finansowanie Orlików. Sport to przecież zdrowie nie tylko dla ciała, ale także i ducha, uczy jak porażki przekuć w zwycięstwa.*

Nie było oklasków. Ostatnie dwie reformy edukacji ministrów Zalewskiej i Czarnka, praktycznie zapomniały o wychowaniu fizycznym, o współzawodnictwie sportowym. Zastanawiano się czy więcej czasu poświęcić religii, czy etyce, wychowaniu seksualnemu, czy ćwiczeniu cnót niewieścich. Mimo coraz lepszych warunków do treningów, przeznaczają się na sport ledwie dwie godziny lekcyjne tygodniowo. Tężyzna fizyczna uczniów karleje, nie pomagają w tym powszechne zwolnienia lekarskie i ćwiczenia paluszkami po ekranie komórek, komputerów.

A żeby pomóc młodzieży w uprawianiu amatorskiego sportu wystarczy tak niewiele, trzeba tylko chcieć. Tuż po wojnie razem z ojcem na betonowych fundamentach Fabryki Octu i Musztardy udało się nam utworzyć kort tenisowy i grało tam ze mną wielu kolegów z Dolnego Miasta. Boisko do gry w piłkę i koszykówkę powstało koło mojego domu letniego na Kaszubach jeszcze przed zamieszkaniem. Edukację sportową zaczynały tam moje wnuki Basia, Tadek Kacper i dzieci sąsiadów.

Ostatnio zaskoczył wszystkich teść córki Bohdan Borkowski, człowiek czynu, zawsze pełen niekonwencjonalnych pomysłów. Wykupił on teren i praktycznie własnymi siłami wybudował wspaiałe boisko dla dzieci niepublicznej szkoły w Kowalach. Ten Orlik dzierżawi za niewielkie pieniądze. Jako były reprezentant Polski w piłce ręcznej zostałem tam zaproszony na nieoficjalnie otwarcie kompleksu. Przyszło mi otwierać kłódkę, którą powieszono na Furtce Gardziela. I chociaż boisko nie zostało odebrane, bo urzędnicy piętrzą jeszcze kolejne trudności, uczniowie ku zadowoleniu rodziców już tam codziennie ćwiczą. Jest wśród nich najmłodszy wnuk Kacper.



## Zamiast epilogu

„Trzeba wiedzieć, kiedy w szatni płaszcz pozostał przedostatni i wyjść” – tak kończyłem ostatni rozdział pierwszej części „Gardzielowych Fidrygalek”. Minęło siedem lat, to był dla mnie wystarczający czas nie tylko dla przemyśleń, ale też na przekazanie „płaszczka” mojemu następcy Piotrowi Lampartowi. W auli mojej – alma mater – żegnali mnie koledzy z Instytutu, kilku politechnik, konstruktorzy elbląskiej Fabryki Turbin, pracownicy elektrowni. Krótco potem rozstałem się też ze studentami z Gdańska, Bydgoszczy i Torunia.

Nie spodziewałem się wówczas, że wkrótce odejdzie na zawsze mój najlepszy uczeń wychowanek doktor Mariusz Szymaniak. Mocno przeżyłem jego przedwczesną śmierć. To był zresztą jeden z głównych powodów, że zakończyłem także pracę i szefowanie w założonej przeze mnie spółce Diagnostyka Maszyn.

Diagnostyka Maszyn... Lata 1991–2021, kawał życia. Zgrany, fantastyczny zespół, prawie trzysta zleceń, udane konstrukcje, programy komputerowe, oprzyrządowanie diagnostyczne turbin, ponad siedemset opracowań, tysiące spotkań i wyjazdów. Wśród kontrahentów: Zamech, ABB, Alstom, General Electric, Westinghouse, Siemens, Rolls-Royce i większość polskich elektrowni. Razem ze mną odeszli, udziałowcy spółki, profesorowie Politechniki Gdańskiej: Zygfryd Domachowski i Jerzy Głuch, odeszła także sekretarka, niezastąpiona Danka Kruszewska. Udziały odpłatnie przekazaaliśmy pracownikom POSTEOR-u, z którymi Diagnostyka współpracowała na rynku energetycznym.

Teraz przede mną, jak się powszechnie mówi, czas złotej jesieni życia. Zdaję sobie jednak sprawę, że będzie to dla mnie trudny okres. Na razie nie przerwałem pracy, chodzę do Instytutu, gdzie dostałem do dyspozycji miejsce w pokoju profesorskim. Porządkuję zebrany przez lata dorobek naukowy, który przekazuję często w ręce młodych pracowników. Na prośbę inżyniera Daniela Lewandowskiego, jednego z szefów Biura Konstrukcyjnego General Electric w Elblągu zgodziłem się zostać promotorem jego doktoratu. Praca pt. „Rozwój konstrukcji turbin parowych w elbląskiej fabryce Zamech, ABB, Alstom, GE” jest bliska ukończenia. To pasjonująca historia 70-ciu lat twórczego dorobku elbląskich konstruktorów, którzy przy współudziale gdańskich uczonych projektowali, nadzorowali wykonywane w fabryce i sprawdzone potem w eksploatacji setki turbin.

Niby mam więcej czasu: dla rodziny, na kino, teatr, wycieczki, sport, ale coraz mniej siły i chęci. Ku zadowoleniu małżonki zacząłem gotować. Na Krętej, by to sprawdzić, wystarczy zapukać w ścianę. Na degustację schodzą najbliżsi sąsiedzi szeregowca: Jacek, Joasia, Tomek, Jola. Takie spotkania były ważne, zwłaszcza kiedy wskutek pandemii zamknięte zostały hotele, restauracje, teatry, kina, pływalnie, korty, boiska. Oczywiście spotykam się także z kolegami z boiska, sąsiadami z Częstkowa, ze znajomymi różnych kręgów, których lubię i cenię. Póki co, nie odstawiłem nart, nawet w czasie kwarantanny ze szwagrem Świcusiem i jego żoną Wiesią szusowałem na stokach Wieżycy. Mimo okresowych zakazów stale grywam w tenisa, teraz najczęściej z rówieśnikami Ulką i Andrzejem.

Z pewną ostrożnością przyglądam się zachodzącym zmianom na świecie, które jakby przyspieszyły w trakcie pandemii. Syn Paweł podrzucił mi książkę znanego autora Harariego „21 lekcji na XXI wiek”. Jego wizje dotyczące zdalnego nauczania i sztucznej inteligencji są fascynujące, ale poraża możliwość utraty wolności. Świat pędzi, nie wiadomo w jaką stronę, ludzie coraz częściej zamykają się w wirtualnym świecie, tracą poczucie rzeczywistości. Z tymi procesami, przyjdzie się zapewne zetrzeć nowym pokoleniom, także moim wnukom. Marzy mi się, by w wyborze nowej drogi życiowej wykorzystali też niektóre przestrogi Gardzielowych Fidrygałek.

# SUPLEMENT

## *Zielony Ład 2050 i czarna polska dziura*

Ten trudny do zrozumienia rozdział o perspektywach energetyki dołączam do Fidygałek z pewną obawą, ale też z nadzieją, że zainteresuje i skłoni do refleksji czytelników. Energetyka to przecież moja pasja i całe zawodowe życie. Nie jestem papierowym tygrysem, sto moich opatentowanych pierścionków, zamontowanych w turbinach parowych przekazywało niedawno do krajowej sieci więcej energii niż cała fotowoltaika. Od lat biorę udział w dyskusji dotyczącej przyszłości polskiej elektroenergetyki, starając się zawsze weryfikować nowe propozycje zarówno pod względem technicznym, jak i ekonomicznym. Onegdaj, gdy stawałem przeciw atakom na elektrownię atomową w Żarnowcu, posądzony byłem o poparcie dla radzieckiej technologii, a przecież projektowane według szwajcarskiej dokumentacji turbiny wykonano w Elblągu, reaktory w czeskiej Skodzie, a automatykę u Siemens. Po referendum w 1990 roku budowę wstrzymano, straciliśmy dwa miliardy dolarów. Ostatnio, kiedy w trakcie wykładu na Politechnice Gdańskiej na temat polskiej energetyki ostrzegałem, żeby zachować ostrożność przy likwidacji elektrowni węglowych, znowu naraziłem się na okrzyki audytorium, że jestem przeciw nauce, a do tego, że popieram rząd PiS-u.

Tymczasem akceptuję proekologiczne zmiany w energetyce, ale sprzeciwiam się propagowaniu rozwiązań niesprawdzonych i niektórym katastroficznym przepowiedniom. Jeszcze w szkole uczyłem się praw Malthusa, który w 1798 roku prognozował, że przy rosnącej populacji ludzi zabraknie żywności. Dziś już o nim nikt nie pamięta, a rozwiązaniem stała się zielona rewolucja. Potem przyszły raporty Klubu Rzymskiego (1968), w których wieszczono, że przy rabunkowej gospodarce zabraknie na świecie paliw i energii, ale i ten kryzys udało się zażegnać. Teraz, jak większość ludzi z niepokojem obserwuję wielką degradację ziemskiego środowiska. W szczególności groźny wydaje się być pochodzący ze spalania wzrost ilości dwutlenku węgla, odpowiedzialny w dużej mierze za ocieplenie klimatu na Ziemi. Informował o tym dość dawno klimatolog Charles Keeling (1958), ale



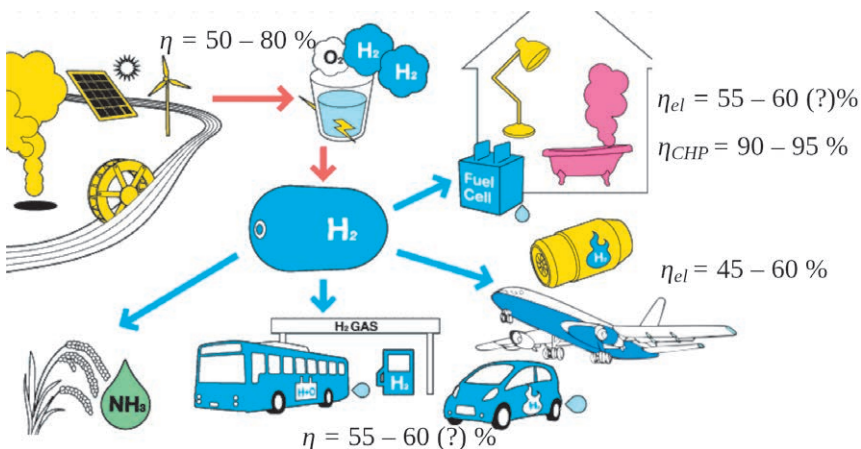
Z humorem. Nawet najwięksi sceptycy uwierzyli w globalne ocieplenie

dopiero kiedy wzrost temperatury stał się niebezpieczny dla życia, przyszły ostrzeżenia Ala Gore'a (2004) i uchwały Międzynarodowych Konferencji, z tą najważniejszą w Paryżu (2015). Pozyskały one akceptację większości państw, ale tym razem konieczny proces energetycznej transformacji napotkał na olbrzymie trudności. Proponowane w zastępstwie źródła fotowoltaiczne i wiatru okazały się bowiem ograniczone w dostępie, słońce przecież nie zawsze świeci, a wiatr nie zawsze wieje. Przy nierozwiązanym problemie magazynowania komplikowało to proces wytwarzania energii i było powodem znacznego wzrostu kosztów. Pisałem o tym dziesięć lat temu w czasopiśmie energetycznych i ekologicznych oraz w pierwszej części „Gardzielowych Fidrygałek”.

Od tego czasu degradacja środowiska znacznie przyspieszyła, a źródła odnawialne w światowym bilansie energetycznym przekroczyły ledwie 25%, zresztą w większości pozyskane w elektrowniach wodnych jeszcze w XX wieku. Tymczasem zagrożenie dla ludzi wydaje się być znacznie groźniejsze niż się spodziewano, świat rzeczywiście staje przed katastrofą. Przy braku wiążących decyzji we wdrażaniu czystych technologii, rolę lidera zmian przejęła Europa. Najpierw był plan ograniczenia emisji dwutlenku węgla przyjęty w Pakiecie 3x20, a potem Komisja Europejska, w oparciu o dobrą koniunkturę gospodarczą, przedłożyła do zatwierdzenia obowiązek neutralności klimatycznej w programie Zielonego Ładu. Zgodnie z nim kraje UE do końca 2050 roku pragną przeprowadzić dekarbonizację.

Niestety opracowywane reguły tego programu nie dla wszystkich są czytelne. Warto zatem wyjaśnić; co właściwie znaczy ta dekarbonizacja. Otóż w zamyśle autorów ma to być całkowite wyeliminowanie procesu spalania węgla, ropy i gazu nie tylko z elektroenergetyki, ale też z ciepłownictwa, transportu, przemysłu, nawet rolnictwa. Zamierzenia ambitne, ale w trosce o środowisko bogate kraje zachodniej Europy do takich zmian szykowały się od dawna. W większości zamknięto już elektrownie węglowe, które z powodzeniem zaczęły być zastępowane przez elektrownie jądrowe. Wreszcie sięgnięto po czystą energię nie tylko wody, ale właśnie wiatru i słońca. Już na starcie natrafiono na problemy, bo zakaz spalania paliw kopalnych praktycznie eliminuje bardzo dobrze sprawdzony w systemach zasilania miks energetyczny. Te trudności były powodem, że na świecie w poszukiwaniu racjonalnych rozwiązań podjęto badania na wielką skalę, zaczęły też powstawać stosowne technologie.

Aktualnie najbardziej perspektywiczna wydaje się być technologia wodoru, bo ten nośnik już spełnia wszystkie potrzeby energetycznej transformacji, można go magazynować, wykorzystać w transporcie przede wszystkim lotniczym. Niestety, wodór w stanie wolnym nie egzystuje na ziemi, a przy jego pozyskaniu trzeba włożyć więcej energii niż się potem z niego uzyska. W czystej postaci wodór otrzymuje się w procesie elektrolizy wody, oczywiście przy zasilaniu energią elektryczną ze źródeł odnawialnych.



Możliwości wykorzystania technologii wodorowej w energetyce wg J. Hislopa

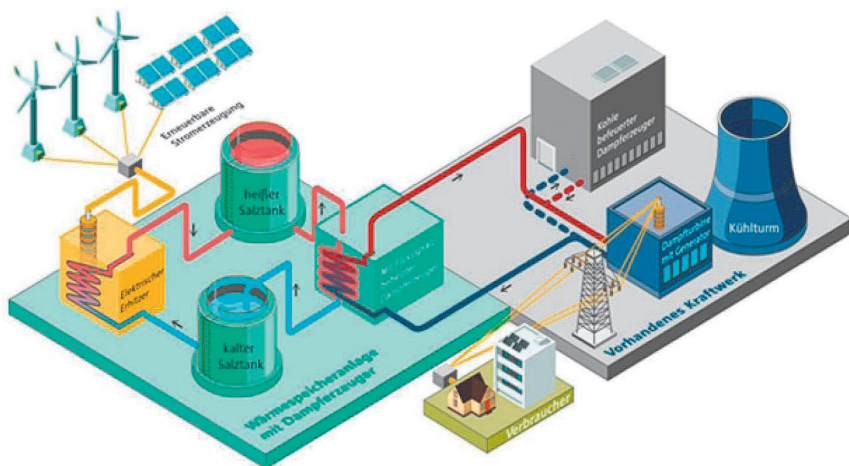
Jego wielką przewagą jest trzykrotnie większa od gazu ziemnego wartość opałowa, ale jest on bardzo wybuchowy, co stwarza ciągle eksploatacyjne kłopoty. Pełną gamę możliwości wykorzystania wodoru przedstawił w czasopiśmie „Energia News 2018” J. Hislop, co pokazano powyżej na rysunku. Po udanych próbach w transporcie technologia wodorowa zafascynowała wielu, ale kolejne wdrożenia nie są już tak obiecujące.

Chociaż nieznane są przyszłe koleje rozwoju tej technologii, już wiadomo, że przy jej przyjęciu trzeba będzie instalować w elektrowniach odnawialnych moce o rząd wielkości większe niż dotychczas, co wynika nie tylko z dostępu do sieci elektrycznej źródeł odnawialnych, ale też z niewysokiej sprawności pozyskania czystego wodoru. To mogą być setki tysięcy gigawatów, a takiemu gwałtownemu przyrostowi mocy na świecie towarzyszyć zapewne będą nieokreślone problemy wynikające ze skali tak wielkich przedsięwzięć. Dla przykładu do tej pory nie ma odpowiedzi, jak zmieni się temperatura wokół gigantycznej liczby instalowanych elektrowni słonecznych. Nie wiadomo też, jak zmieniają się deszczowe wiatry, które towarzyszą prądowi Golfstrom, gdy na drodze staną miliony wiatraków. Do tego zapewne dołączą problemy materiałowe, przecież zarówno w odnawialnych źródłach, jak i ogniwach wodorowych stosowane są pierwiastki ziem rzadkich, których już teraz zaczyna brakować.

Nic zatem dziwnego, że cały czas trwają intensywne prace w poszukiwaniu innych zamienników tańszych od wodoru dotyczących rozwiązań magazynowania energii elektrycznej. Wiele krajów świata nie rezygnuje przy tym z elektrowni jądrowych. Są one sprawne, niezawodne i stabilne w sieci, nie emitują dwutlenku węgla, a przy tym gotowe są do współpracy z innymi źródłami. Istniejące rozwiązania dobrze się sprawdziły w eksploatacji, a po awariach w Czernobylu i w Fukushima, pozyskały dodatkowe zabezpieczenia. Co prawda zwiększyły się koszty inwestycyjne, ale przy niskich cenach paliwa uranowego zwracają się one po trzydziestoletniej eksploatacji. Zwraca uwagę, że przy lokalizacji elektrowni nad brzegiem morza można znacznie ograniczyć zużycie tak cennej dla ludzi wody pitnej. Niestety, w trwającym kryzysie ekonomicznym wstrzymuje się ich budowę, bo na starcie, a potem i przy zamknięciu trzeba inwestować wielkie pieniądze. I chociaż Niemcy przystąpiły do wyłączania starych i wyeksploatowanych bloków, to panuje powszechne przekonanie, że inwestorzy czekają, na nowe bardziej sprawne reaktory czwartej generacji. Pozwalają one głębiej przepalać uran, a radioaktywne odpady będą tam świecić 200 a nie jak

dotychczas 200 000 lat. W modernizację siłowni atomowych włączył się ostatnio amerykański multimiliarder Bill Gates, który – jak donoszą – bliższy jest uruchomieniu małych reaktorów (Small Modular Reactor), zwykle o mocy ponad stu megawatów. Mają być one bardziej elastyczne w pracy i tańsze w eksploatacji, co skłania do zaangażowania wielkich pieniędzy, także naszych miliardów Sołowa i Solorza.

Nierozwiązane do końca problemy transformacji powodują, że na świecie nie zamyka się jeszcze elektrowni konwencjonalnych, co w szczególności dotyczy bloków gazowych, mniej zagrażających środowisku. Co prawda gaz jest teraz drogi, ale są one inwestycyjnie najtańsze, przystosowane do współpracy w miksie energetycznym z elektrowniami odnawialnymi, a po odkryciach nowych złóż niezagrożone w eksploatacji. Liderujące w przemianach Niemcy zakładają drugą nitkę Nord Stream 2, która dostarczy wielkie ilości gazu z Syberii. Co ciekawe, w Niemczech nie zrezygnowano nawet z elektrowni węgla brunatnego. Ostatnią w Nadeln IV uruchomiono przecież w 2020 roku. Nie jest to jednak bojkot Zielonego Ładu. Nasi sąsiedzi przewidują, że po wygaszeniu w 2039 roku kotłów parowych, energię węgla uda się tam zastąpić



Schemat przekształcenia elektrowni węglowej w odnawialną z wykorzystaniem energii cieplnej solanki

energiją ciekłej solanki, podgrzanej do wysokiej temperatury w wymiennikach ciepła zasilanych prądem elektrycznym ze źródeł odnawialnych. I w tym przypadku przeprowadzone próby budzą optymizm, tym większy, że nie są to jedyne tego typu pomysły na świecie. Zwraca uwagę, że wyeksploatowane wyrobiska węgla brunatnego wypełnia się wodą, rekultywując zniszczone środowiska rolnicze. Wody na pewno nie zabraknie tam dla mieszkańców, na utworzonych sztucznych jeziorach już żeglują jachty i powstają ośrodki turystyczne.

Polska do tak drastycznych zmian nie była i nadal nie jest przygotowana. Węgiel w naszej energetyce od lat odgrywał ważną rolę i tej hegemonii nie udało się zmienić w przemianach 1989 roku. Trzeba jednak zauważyć, że przeprowadzone modernizacje istniejących elektrowni węglowych, a także budowa najnowocześniejszych bloków nadkrytycznych pozwoliły znacząco podnieść dostępną moc, a przy tym ograniczyć zapylenie i szkodliwe emisje. Zainwestowano spore pieniądze w elektrownie gazowe, biopaliwowe, a także w panele fotowoltaiczne i farmy wiatraków na lądzie. To był duży sukces na przełomie wieków, dzięki czemu trzykrotnie zmalało wydobycie węgla kamiennego, przy aż sześciokrotnym ograniczeniu zatrudnienia w górnictwie. Tymczasem zmienił się rząd, kluczowe miejsce w budżecie państwa zajęła polityka społeczna. Gdy przyszedł kryzys i w kasie zaczęło brakować pieniędzy, wstrzymano finansowanie wielu inwestycji, co szczególnie dotknęło energetykę. Przyjęte naprędce uchwały praktycznie zastopowały rozwój źródeł odnawialnych, w niebyt odeszły plany rozwoju energetyki jądrowej, poszliśmy na zwarcie z Europą, która w tym czasie szykowała się do realizacji Zielonego Ładu. Weta w Parlamencie Europejskim oziębily kontakty z krajami Unii, do tego nie znaleziono obrońców naszych pozycji.

Mimochodem wpadliśmy w „czarną dziurę”, pytanie na jak długo? Przecież naszej sytuacji nie można porównywać z Norwegią czy Austrią, które energię elektryczną uzyskują przede wszystkim z wody. Nie można Polski odnieść do potentatów atomowych: Francji i Szwecji, czy państw, które prąd produkują w oparciu o morskie złoża gazu. Wreszcie trudno porównywać nas z Niemcami, z krajem o podobnych uwarunkowaniach geograficznych i geologicznych, ale znacznie bogatszego. Sąsiedzi zza Odry, dla ograniczenia o połowę emisji dwutlenku węgla wydadzą wkrótce 1.7 biliona euro. Właśnie wysokie koszty są powodem, że większość państw na świecie nie przyłącza się do tak ostrych planów dekarbonizacji. Nie zgadzają



się na nie najbogatsze Stany Zjednoczone, chociaż zachowują przewagę w wielu technologiach energetycznych i ograniczyły wyziewy CO<sub>2</sub> o miliard ton rocznie. Przy sporych zasobach paliw, Amerykanie nie chcą naruszać konsumpcyjnych przyzwyczajeń. Tani węgiel w gospodarce dalej preferują Chiny i Indie, które przejęły większość energochłonnej produkcji na świecie. Nawet Japonia, po katastrofie elektrowni atomowej w Fukushima, zaczęła sprowadzać australijski węgiel, oddano tam do użytku aż 22 bloki o mocy tysiąca megawatów. Mając bogate złoża ropy i gazu, na wielką energetykę odnawialną nie stawia Rosja, ani państwa Bliskiego Wschodu, ani tym bardziej biedne kraje Azji, Afryki, Ameryki Łacińskiej. Według raportu „Global Coal Plant Tracker” dalej na świecie pracuje 2500 elektrowni węglowych, a prawie 200 jest w budowie.

Gra idzie o wielkie pieniądze, a na rynku energii stale panuje chaos. Racjonalne oceny wprowadzanych nowych technologii utrudniają definicje porównań, różne dopłaty oraz kary. Zapewne to było głównym powodem, że w Unii Europejskiej te rozbieżności zdecydowano się uporządkować, oczywiście z preferencją czystej energii. To właśnie dlatego wprowadzono opłaty dotyczące emisji dwutlenku węgla do atmosfery. Początkowo wynosiły 5 euro za tonę, powiększono je do 60, wkrótce mają przekroczyć 100 Euro. Dla zmniejszenia obciążeń energetycznej transformacji, przyznano dla poszczególnych krajów, stosowne limity finansowe. Po ich zawieszeniu Polsce przyjdzie płacić wielkie sumy pieniędzy jeśli zważyć, że w elektrowniach węglowych przy produkcji 1000 kW emituje się do atmosfery 1 tonę CO<sub>2</sub>. Warto zauważyć, że zgodnie z dyrektywą UE wszystkie opłaty mają być wykorzystane na realizację inwestycji zielonej energii. Z tego tytułu do krajowej kasy pozyskano już kilkadziesiąt miliardów złotych, ale na razie niewiele z tej sumy trafiło do funduszy transformacji.

Koszty i prognozy inwestycyjne dotyczące wypełnienia żądań Zielonego Ładu 2050 są w tym momencie niezwykle trudne do oceny. Dotychczasowe analizy i ekspertyzy były wycinkowe, zawierały wiele nieścisłości i przekłamań, a do tego miały w większości inną cezurę czasu. Tendencyjnie zawyżano w nich sprawności zwykle niedopracowanych technologii. Między bajki można włożyć podawane szeroko informacje, że zainstalowana w polską fotowoltaikę moc 5000 MW zastąpiła elektrownię Bełchatów. **Moc to nie energia!** To najczęściej powtarzany błąd większości rozważań. Dla przypomnienia warto zauważyć, że w tej elektrowni spala się dziennie 4000 wagonów węgla i aby je wyeliminować, trzeba zainstalować w fotowoltaice

moc dziesięć razy większą, co jest równoważne energii spalonej wierzby rosnącej na 3 mln hektarów lub pozyskaniu gazu z odchodów pół miliarda świń.

Te mankamenty dopiero w ostatnim czasie rozpoczęto korygować. Pierwsze oszacowania kosztów dekarbonizacji podane przez Ministerstwo Energii przekraczają znacznie 500 mld euro. To szokuje. To zapewne leżało u podstaw dość wyważonego raportu Komitetu Problemów Energetyki PAN, w którym w perspektywie najbliższych 30 lat zachowano miejsce na węgiel. Także polski rząd w prezentowanym ostatnio programie polityki energetycznej PPE do 2040 roku nie eliminuje węgla, stawiając również na gaz. W tym kontekście umiarkowany optymizm budzi powrót Polski do dialogu z Unią Europejską zasygnalizowany na XII Europejskim Kongresie Gospodarczym w Katowicach 2018. Dobrze zostały tam przyjęte nasze propozycje budowy farm wiatrowych na Bałtyku i intensyfikacja budowy instalacji fotowoltaicznych. Z dużym uznaniem odnotowano propozycję zamiany węglowego bloku w Ostrołęce na gazowy oraz otwarcie się na energetykę jądrową. Nadzieje wzbudziły także rozmowy z górnikami, dotyczące zamknięcia kopalni węgla w 2049 roku. Mimo trudności finansowych Polska nie stanęła przeciw zmianom, dzięki czemu w Brukseli udało się jednomyślnie zatwierdzić budżet na lata 2021–2027. Największe środki przewidziano tam co prawda na walkę z koronawirusem, ale sporo zarezerwowano na przyszłe transformacje energetyczne. Jak podaje, w prowadzonym blogu, były komisarz UE Janusz Lewandowski, pozyskamy na energetykę co najmniej 7,5 miliardów euro. To tylko kropla w morzu naszych potrzeb, bowiem, jak pisze autor, wydatki państw Unii w programie Zielonego Ładu Komisja Europejska ocenia na 250 mld euro rocznie. Do 2050 roku będzie to z górą 7 bilionów euro, co warto zapamiętać, w dużej mierze te gigantyczne pieniądze dotyczyć przecież będą naszego kraju.

Wymienione przesłanki są dostatecznym powodem, aby już na obecnym etapie przeprowadzić kalkulacje kosztów Zielonego Ładu, które z analiz wyeliminują mrzonki oraz pozwolą zrationalizować wybór przyszłych realizacji. Zaprezentowano je poniżej w skrócie. Pozycją wyjściową dla przeprowadzenia takich obliczeń jest oczywiście roczne zużycie energii. To zużycie w Polsce szacuje się na 500 TWh, co określono z bieżących bilansów elektroenergetyki i informacji dotyczących ilości paliw wykorzystywanych w transporcie, ciepłownictwie, przemyśle, rolnictwie. Założono, że do 2050 roku zużycie energii można ograniczyć nawet do 300 TWh, co podaje



Farma wiatraków Vattenfall w Horns 2, Dania. Moc zainstalowana 70 MW, użyteczna 25 MW

wiele analiz, a wynika głównie z oszczędności w zeroemisyjnym budownictwie i z przyjęcia efektywnych metod przetwarzania energii w transporcie. Warto podkreślić, że przyjęta wartość dobrze koresponduje z ograniczonymi w ostatnim okresie prognozami Niemiec i Francji. Oczywiście znajomość zużycia pozwala przeprowadzić obliczenia mocy urządzeń wybranych technologii, które jak wiadomo stanowią zasadniczą część przyszłych kosztów inwestycyjnych. Hipotetyczne testy oceny mocy rozpoczęto od obliczeń urządzeń czystej technologii wodorowej, która, chociaż jest niedopracowana, na obecną chwilę gwarantuje całkowitą eliminację paliw kopalnych. Dla uproszczenia przy wyborze źródeł zasilania w tej technologii zdecydowano na energię pozyskaną ze słońca i wiatru, jako że w Polsce energia wodna, geotermalna, a także biopaliwowa mają niestety spore ograniczenia. Warto poznać charakterystyczne wyniki, które zostały wybrane z testów w nieco przerysowanej formie. I tak w przypadku zastosowania zasilania tylko fotowoltaicznego obliczono, że uwzględniając konieczne w bilansie rezerwy, trzeba by zainstalować w Polsce gigantyczną moc 720 GW, co wynika z 50% sprawności elektrolizy i tylko 10% dostępności paneli do sieci elektrycznej. Przy kosztach inwestycji 3 000 zł/kW, jakie przewidywane są w 2050 roku,

to dla Polski wielki wydatek przekraczający 2 biliony zł. Poraża, że to będą setki milionów paneli fotowoltaicznych, których instalacja zajmie 5% powierzchni kraju, a do tego doliczyć przecież trzeba koszty magazynowania wodoru i budowy sieci jego rozprowadzenia. Wykorzystanie w produkcji wodoru jedynie energii z morskich farm wiatrowych niemal o ponad trzykrotnie większym dostępie do sieci daje redukcję do 240 GW, co przekracza nasz dostępny potencjał wiatru na morzu, ale i na lądzie!!! Przy zaniżonych kosztach urządzeń do 9 000 zł/kW, to podobny wydatek jak dla fotowoltaiki, ale trzeba go powiększyć o koszty połączenia wielu tysięcy wiatraków na morzu z elektryczną siecią na lądzie. Wynikające wnioski to zimny kubeł wody nie tylko dla ekologów, ale propagatorów technologii wodoru.

Nasuwa się zatem pytanie, jakie w tym momencie przyjąć rozwiązania inwestycyjne dla polskiego Zielonego Ładu 2050? Przed podjęciem decyzji dotyczącej wyboru przyszłych wariantów dokonano przeglądu prognoz energetycznych transformacji prowadzonych u europejskich liderów. Okazuje się, że z uwagi na koszty udział technologii wodorowej w prognozach bilansów energetycznych większości krajów nie sięga 20%. Niemcy wyprodukowaną energię ze źródeł odnawialnych planują przekazywać w większości bezpośrednio do sieci elektrycznej, a dla tańszego magazynowania intensywnie rozwijają akumulatory nie tylko chemiczne, ale ciepłe i wodne szczytowo-pompowe. W coraz większym stopniu wykorzystuje się tam także źródła



Elektrownia jądrowa w Chooz, Francja. Moc zainstalowana 3000 MW, użyteczna 2800 MW

energii rozproszonej w lokalnych centrach biomasy, biogazu i śmieci. Przy ograniczonym do 2050 roku zużyciu energii do poziomu 600 TWh, nawet przy maksymalnym wykorzystaniu potencjału odnawialnych źródeł sięgających 300 GW, nie wystarcza to im do domknięcia bilansu. Nie dziwi, że przy planowanym wyłączeniu istniejących elektrowni jądrowych, w prognozach utrzymuje się stale rezerwę na energię elektrowni gazowych. Te trudności są powodem, że wiele krajów na świecie znów stawia na energetykę jądrową. Francja, która już dawno zainwestowała w atom, praktycznie wyeliminowała spalanie węgla. Elektrownie jądrowe o mocy sięgającej 70 GW produkują tam rocznie prawie 400 TWh, co w bilansie stanowi 70% energii elektrycznej. Przy podobnym do niemieckiego zużyciu energii, w oparciu o odnawialne źródła już w najbliższym czasie Francuzi mogą wypełnić normy Zielonego Ładu 2050. Problemem może być potrzeba przeprowadzenia renowacji, a w przyszłości też wymiany wielu bloków jądrowych, które zbliżają się tam do kresu swej eksploatacji.

Z polskiej perspektywy koncepcja francuska wydaje się być bliższa. Przy eliminacji węgla, braku własnego gazu, przy naturalnych ograniczeniach źródeł odnawialnych, budowa elektrowni jądrowych jest chyba w Polsce przesądzona. Tym bardziej, że bloki jądrowe przy swej wysokiej gęstości energetycznej gwarantują niemal tysiąckrotne oszczędności w powierzchni zabudowy w porównaniu zarówno do elektrowni fotowoltaicznych, jak i wiatrowych. Pierwsze atomówki powstaną zapewne w pasie nadmorskim, ale potem niewykluczona jest ich budowa w miejsce elektrowni w Pątnowie, czy nawet w Bełchatowie... Dla kraju będzie to nie tylko skuteczna eliminacja emisji dwutlenku węgla, ale też pozyskanie stabilnych źródeł, które przy stosunkowo niewielkich kosztach modernizacji sieci można będzie dostosować do istniejącego miksu energetycznego. Szacunkowe obliczenia pokazują jednak, że przy zastosowaniu modelu francuskiego dla wypełnienia norm Zielonego Ładu 2050 trzeba zbudować w Polsce elektrownie jądrowe o mocy przekraczającej 50 GW, co nawet dla fanatyków tej technologii jest wielkością nierealną do zrealizowania. Oceniono, że w przyszłej polityce energetycznej kraju winno wykorzystać się również doświadczenia niemieckie, stawiając dodatkowo na źródła rozproszone, oczywiście z pewną rezerwą na wodór. Po przeprowadzonych testach oceniono, że przy zainstalowaniu w fotowoltaikę i farmy wiatrowe na morzu i lądzie po 50 GW oraz 10 GW w urządzenia energetyki rozproszonej, dla zamknięcia bilansu Zielonego Ładu wystarczy budowa elektrowni jądrowych

o mocy rzędu 20 GW. To w systemie energetycznym będzie w sumie 130 GW, czyli trzy razy więcej od mocy elektrowni węglowych i gazowych, które do 2050 roku powinny być zlikwidowane. Warto zaznaczyć, że te 20 GW zainstalowanych w energetykę jądrową stanowić będzie ponad 40 procent energii elektrycznej. Nawet przy wysokich jednostkowych kosztach inwestycyjnych na poziomie 25 000 zł/kW, ten wariant finansowo wypada najkorzystniej, nie przekraczając 1,5 biliona zł. Co ciekawe, propozycja jakościowo nie odbiega zasadniczo od rządowych planów PPE, chociaż niepokoję budzą dość duże różnice zanotowane zarówno w zużyciu energii, jak i mocy obliczonych instalowanych urządzeń, w stosunku do tych proponowanych w Polsce na rok 2040. W tym względzie szczególne nadzieje może budzić wykorzystanie technologii małych reaktorów modułowych w elektrociepłowniach, co powinno rozwiązać problemy ogrzewania w większości polskich miast. Oczywiście wyniki tych jakże zgrubnych kalkulacji można kwestionować, że nie uwzględniają postępu technicznego, że w poszukiwaniu rozwiązań dostatecznie nie wykorzystano procesów cyfryzacji. To prawda, ale niniejsze testy przeprowadzono dla zużycia energii na osobę znacznie mniejszego w stosunku do najbogatszych krajów świata, a pamiętać przy tym trzeba, że pominięto koszty zarówno modernizacji sieci energetycznych, jak i konieczne inwestycje magazynowania.

Trudno być optymistą, jeśli do 2020 roku Polska nie wyprodukowała 15% zielonej energii obiecanej w Pakiecie 3 × 20, kiedy też nie przystępuje do europejskiego planu Fit for 55. W tym kontekście nie budzą optymizmu informacje, że pracuje w polskiej sieci elektrycznej 10 GW elektrowni odnawialnych, a w ciągu 20 lat przewiduje się te realizacje zwiększyć jedynie dwa razy; jeśli do tej pory w Polsce nie zbudowano żadnej elektrowni jądrowej, a pierwsze bloki mocy 6000 MW mają być instalowane dopiero po 2033 roku; jeśli nie rusza na wielką skalę preferowana przez wielu energetyka rozproszona. Podawane z wielkim szumem dziesiątki milionów dolarów przeznaczonych na technologię wodorową, póki co traktować można jako otwarcie kolejnego startupu podobnego do grantów perowskitowych, cudownej wersji polskiej fotowoltaiki. Do wdrożenia takich pomysłów na wielką skalę droga niestety daleka, tutaj nie wystarczy chęć, ani najbardziej wyszukane zakłęcia. Można przypomnieć euforię w poszukiwaniu gazu łupkowego, nieudane w praktyce rozwiązania gazyfikacji węgla, próby wykorzystania polskiej geotermii, magazynowanie dwutlenku węgla w pokopalnianych niszach, czy dosypywanie biopaliw

do fluidalnych kotłów węglowych. Problemu transformacji energetycznej nie rozwiążą także stosowane, głównie w Unii Europejskiej, coraz wyższe kary za emisje dwutlenku węgla, które dotkną nie tylko mieszkańców, ale hutnictwo, cementownie, zakłady chemiczne, broniące się przed zalewem tanich produktów z Chin, Indii. Dalej łatwiej górnikom dorzucać pieniądze na wypłaty w deficytowych kopalniach, niż przygotować nowe miejsca pracy. Taniej zakładać małą, stale dofinansowywaną fotowoltaikę, niż budować pracujące w sieci olbrzymie elektrownie słoneczne i potężne morskie farmy wiatraków o średnicach śmigieł dużo większych od boiska piłkarskiego. To jest jakieś rozdwojenie jaźni, że zamiast wyprodukować milion elektryków, sprowadziliśmy do Polski miliony, dziesięć razy tańszych aut z zachodu, które powinny być już tam zutylizowane; kiedy zaczynamy budowę wielkiego lotniska, a świat przygotowuje się do ograniczenia transportu samolotowego.

Już teraz nasuwają się zasadnicze pytania skierowane do decydentów: jakie przyjąć w Polsce technologie w 2050 roku? Skąd pozyskać na nie środki finansowe? Czy dopuścić na wielką skalę import prądu elektrycznego? Wreszcie jak prowadzić z Brukselą merytoryczne rozmowy w pozyskaniu dodatkowych funduszy i ewentualnie na uzyskanie prolongaty dotyczącej zmian terminów? Pośpiech, jak w żydowskim dowcipie, jest potrzebny przy łapaniu pcheł, ale kiedy nie ma pieniędzy i nie ma jednoznacznych rozstrzygnięć, co i gdzie budować, musimy w postępowaniu być ostrożni. W czasie wojny babcia mówiła mi: nie wylewaj brudnej wody, kiedy nie masz czystej. Póki co, nie można bezmyślnie ograniczać funduszy przeznaczonych na utrzymywanie w stałym pogotowiu pracujących elektrowni węglowych. W Australii, w południowym stanie Adelajdy, gdy nagle niebo zasłoniły chmury, ucichł wiatr i padł system rozproszonej energetyki, nastąpiła totalna katastrofa, bo nie udało się uruchomić żadnej, rezerwowej elektrowni węglowej, nie ruszyła do pracy w systemie ani jedna turbina. Co znaczy brak prądu w gniazdkach elektrycznych, informował mnie polski emigrant i bliski kolega. Awaria, która dotknęła ostatnio zabezpieczenia elektrowni Bełchatów, pokazała profesjonalizm obsługi technicznej. Dobrze, że naszych energetyków nie dotknął wszechogarniający elektrownie węglowe marazm i na razie dla kraju wypełniają oni bezbłędnie swe powinności.

Ten stan niepewności i wyczekiwania obejmuje swym zasięgiem cały świat. Wielu liczy na ludzką inwencję i wierzy w boską interwencję. Mimo

niepowodzeń dalej trwają próby rozpalenia słońca na ziemi dla zrealizowania kontrolowanej fuzji jądrowej deuteru i trytu. W Ameryce budowane są potężne instalacje laserowe, gdzie – jak podano z hukiem – osiągnięto dopiero krótkotrwały próg koniecznego zapłonu. W pobliżu Marsylii zaczęto składać kolejny raz Eksperymentalny Reaktor Termonuklearny (ITER). To projekt największy w dziejach, który prowadzą: USA, UE, Rosja, Chiny, Indie, Japonia i Korea Płd. Wylano morze betonu, położono kilometry prętów stalowych, reaktor ma być rozpalony za pięć lat, przybliżone koszty wynoszą 25 mld euro. Póki co, nie ma odpowiedzi, czy człowiek jest w stanie dotrzeć do tego taniego źródła nieograniczonej energii? Jeśli ITER spłonie, jak mityczny Ikar, zapewne trzeba będzie narzucić na świecie ograniczenia nie tylko w konsumpcji energii, ale i w demografii. Sir David Attenborough, wielkiej sławy uczony w przygotowanym dla prezydenta Obamy raporcie o stanie świata, obok ostrzeżeń dotyczących degradacji środowiska ocenił, że ziemia może zagwarantować godziwą egzystencję dla co najwyżej 5 miliardów ludzi. Żyło nas wtedy 7 miliardów, a populacja stale rośnie. Jeśli zatem nie będziemy się wzajemnie zabijać, nie zniszczą nas epidemie, nie uda się też wyekspediować ludzi w kosmos, to już teraz trzeba przystąpić do racjonalnej kontroli urodzin. Szkopuł w tym, że to się kłóci z kanonami większości religii. W Księdze Rodzaju Starego Testamentu istnieje zapis: Bądźcie płodni, mnożcie się, zaludniajcie ziemię i czyńcie ją sobie poddaną. Czy nastał czas na zmianę tej biblijnej interpretacji?

Mimo trudności i kasandrycznych przepowiedni jestem przekonany, że prądu elektrycznego nie zabraknie. Polska nie może jednak stanąć przeciw zmianom w energetyce, tak ważnych dla przyszłości świata. Neutralność klimatyczna kosztuje i wymagać będzie od nas sporych wyrzeczeń i zaciskania pasa. Zauważyć jednak trzeba, że polskiej transformacji energetycznej żadną miarą nie da się przeprowadzić bez zaangażowania kapitału zagranicznego. Wiedzą o tym od dawna urzędnicy w Brukseli, wiedzą już po części rządzący, a powinni przyjąć to do wiadomości także ekolodzy i protestująca w dobrej wierze młodzież. Znacznie ostrożniejsza musi być też opozycja, formułująca propozycje bez podania informacji, skąd na nie wziąć pieniądze. Trudności przecież nie znikną po zmianie władzy. Słońce, co prawda świeci za darmo, ale my musimy sobie uświadomić, że realizacja Zielonego Ładu to będzie nie tylko wzrost cen energii elektrycznej, ale drożej przyjdzie także płacić



za jazdę samochodem, latanie samolotem, za mieszkanie, chleb, mięso. W oczekiwaniu na wynegocjowanie z Unią Europejską racjonalnego dla Polski programu transformacji, a także na efektywne i tańsze źródła energii przestańmy niszczyć i zaśmiecać ziemskie środowisko, likwidujmy węglowe kopciuchy, przykręcajmy grzejniki, gaśmy światło, chodźmy piechotą. Przygotujmy się też na ograniczenia nadmiernie rozpasanej konsumpcji. Pytanie, czy jesteśmy gotowi na takie wyrzeczenia.

Profesor Andrzej Gardzilewicz, emerytowany kierownik zakładu Aerodynamiki Turbin w Instytucie Maszyn Przepływowych PAN w Gdańsku oraz wykładowca na Politechnice Gdańskiej. Publikował w renomowanych czasopismach naukowych krajowych i zagranicznych. Autor wielu patentów, rozwiązań konstrukcyjnych i programów komputerowych wdrożonych w energetyce, przede wszystkim w polskich elektrowniach. Konsultant fabryki turbin w Elblągu, a także doradca rządu meksykańskiego z ramienia UNIDO ONZ w dziedzinie energetyki geotermalnej. Założył i prowadzi spółkę innowacyjną Diagnostyka Maszyn. Wybitny sportowiec, reprezentant Polski w piłce ręcznej. Miłośnik śpiewu.